

KAMENIA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: Razem, młodzi przyjaciele • Święto i 364 dni • Dzieci Marii Urban • Losy Kłownikowa • Olejna 6 • Stawiam na powiat chelmski • Mówić jak najwięcej... Kaliskie peregrynacje teatralne • I in.

O REFORMĘ W PEŁNI JEJ TREŚCI

UCHWAŁA VII Plenum KC PZPR zapobiegła myśli naukowców, działaczy politycznych, społecznych, pracowników oświaty i pedagogów. Nic dziwnego. Reforma rozszerza prawa obywatelskie — rozciąga obowiązek powszechnego nauczania do lat 8, przewiduje organizację dalszego dwuletniego kształcenia młodzieży wiejskiej w dwuletnich szkołach przysposobienia rolniczego, młodzieży miejskiej w szkołach przysposobienia zawodowego. Praktycznie stwarza warunki do realizacji 10-letniej szkoły (8 lat szkoły ogólnokształcącej plus 2 lata przysposobienia zawodowego). Jest to reforma na miarę jednego pokolenia i to decyduje o jej zasięgu i wartości. W dotychczasowej dyskusji nad projektem reformy wybijają się na czoło jeden zasadniczy brak — nie bierze się pod uwagę, stanu faktycznego. To jednak jest podstawą do wybrania słusznej drogi do reformy.

Nie jest przecież tajemnicą, że my, mimo oficjalnej statystyki, nie realizujemy całkowicie jeszcze pełnej 7-klasowej szkoły. Program 7-klasowej szkoły realizują szkoły o 7 i więcej nauczycielach, ale realizują ją i szkoły o 3, 4 i 5 nauczycielach. Realizacja realizacji nie jest jakościowo równa. Są szkoły, w których pracuje po kilku nauczycieli z dodatkowymi lub wyższymi studiami, i są szkoły, w których pracują nauczyciele tylko po 4-letnich liceach pedagogicznych lub komisjach rejonowych. Jakość nauk i wyniki pracy szkolnej w tych szkołach są zupełnie inne. Nie może ująć uwagi, że w latach 1945—1958 4-letnie licea pedagogiczne wypuściły 60.000 absolwentów, a komisje rejonowe ponad 30.000. Ci nauczyciele stanowią gros dzisiejszej kadry szkół podsta-

wowych i oni w znacznym stopniu decydują o poziomie i wynikach nauczania.

To jest pierwszy bardzo trudny moment w zamierzonym przeprowadzeniu reformy.

Drugi moment, nie mniej trudny, to wyposażenie szkół. Braki izb szkolnych, braki pracowni idą w dziesiątki tysięcy. Wyposażenie pracowni, budowanie ponad 30.000 izb lekcyjnych i mieszkań dla nauczycieli wymaga miliardowych nakładów.

Z tego projektodawcy muszą dobrze sobie zdawać sprawę. Jeśli nauczyciel będzie miał tylko kredę, tablicę i podręcznik, nie dopracuje się nowych metod, nie podniesie wyników nauczania.

Reforma sprowadziłaby się w tym wypadku do administracyjnego podniesienia stanu organizacyjnego, ale nie do podniesienia jakości i ilości wiedzy i jej praktycznego zastosowania w życiu.

O PRAWIDŁOWE PLANOWANIE W SZKOLNICTWIE

Każde przedsiębiorstwo swoją produkcję planuje na podstawie:

- a) nakładów finansowych,
- b) nakładów materiałowych,
- c) wyposażenia w maszyny i urządzenia,
- d) kadr inżyniersko-technicznych i robotniczych.

To jest pełny plan. Od tego trzeba zacząć i planowanie w szkolnictwie jeżeli chce się uniknąć zahamowań, przestojów i słabej jakości produkcji.

Dlatego reformę trzeba przeprowadzać planowo, etapami i podnosić stan organizacyjny szkoły, gdzie wszystkie wyżej wymienione elementy będą dobrze zgrane.

Józef Sobieraj

Jeśli to ma być szkoła przygotowująca do rozwiązywania zadań życia współczesnego, to musi być budowana na realnych podstawach. Stąd wniosek — reforma musi się rozciągnąć na czas dłuższy. Na jej realizację muszą się znaleźć środki finansowe i materiałowe. Szkoła musi w całości stanowić warsztat pracy naukowej w zakresie wiedzy ogólnej, jak i zawodowo-technicznej, by przygotować młodzież do praktycznego życia, by ułatwić zdobycie zawodu przez nauczanie się obsługiwanie prostych maszyn i zastosowania narzędzi pracy.

PROFIL 8-LETNIEJ SZKOŁY OGÓLNOKSZTAŁCĄCEJ

W dotychczasowej dyskusji szkołę ogólnokształcącą (poustaawową i średnią) klasyfikuje się jako szkołę oderwaną od życia, jako szkołę, gdzie jeszcze panują dziewiętnastowieczne, a nawet średnio-wieczne metody, mówi się, że metody pracy w niej uległy skostnieniu, że trzeba tam wpuścić trochę świeżego powietrza, że nauczyciel opacznie pojmuje swój autorytet i to jest główną przeszkodą w zbliżeniu szkoły do życia. Np. J. Tadeusz Wieloch w artykule „O nowy system szkolny” pisze: „Bardzo słabą stroną naszej szkoły podstawowej jest właśnie to, że nie kształtuje ona zainteresowań w ogóle, a zwłaszcza zainteresowań społecznych i zawodowych” („Wychowanie” Nr 7/55). Na podstawie moich spostrzeżeń uważam ten sąd za całkowicie mylny. Rozmawiałem w kilkunastu szkołach z młodzieżą klasy VII na temat wyboru zawo-

du. Co się okazuje? Prawie każdy chłopiec, prawie każda dziewczyna już sobie wybrała zawód.

Każdy z moich rozmówców chce zdobyć zawód poprzez ukończenie odpowiedniej szkoły. Aspiracje są różne. Około 18% marzy o skończeniu szkoły wyższej. Reszta poprzestaje na szkole średniej. Tylko około 15% mówiło, że po ukończeniu szkoły zostanie w domu na wsi. Ogólnie młodzież dobrze oceniała swoje możliwości według uzdolnień. Fakt masowego zgłaszania się młodzieży do szkół typu zawodowego mówi coś o pracy szkoły. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że szkoła ogólnokształcąca nie odpowiada wymogom życia współczesnego i reforma systemu szkolnego stała się obiektywną koniecznością. Myślę, że opracowanie programu szkoły 8-letniej musi z konieczności pociągnąć za sobą reformę programu liceum ogólnokształcącego i szkół zawodowych (zasadniczych i techników), by kształcenie stanowiło organicznie powiązane z sobą całość.

W tej chwili najbardziej interesuje nas program szkoły 8-letniej. Nie może to być program klas 7-8 klasy szkoły ogólnokształcącej, bo 8 klasa zaczyna program, który dopiero w wyższych klasach jest rozwijany. To musi być program ustalający sumę wiedzy ogólnej, na którym będą bazowały średnia szkoła ogólnokształcąca i szkoły zawodowe.

Nie wydaje mi się w pełni słuszną koncepcją prof. Bogdana Suchodolskiego opracowania projektu programu przez grupę młodych naukowców pod jego kierownictwem z pominięciem pedagogów-praktyków. Przecież młodzi naukowcy nie znają w pełni szkoły podstawowej, nie realizowali jej programu i będą pracowali w dużym stopniu w oderwaniu od rzeczywistości.

Należy też zaznaczyć, że przy układaniu programu siłą rzeczy przedstawiciele sekcji ośrodków metodycznych będą się starali wtłoczyć do siatki

(Dokończenie na str. 10)

Pawie oczka

ALINA TOMASZEWSKA

JAK daleko sięgnę myślą w moje bardzo szczęśliwe, dziecięce lata, zawsze zatrzymuję się na nie lada epokowym okresie, który nosi nazwę „przedszkole”. Dzisiaj przedszkole to nie takiego. Jest ich mnóstwo (choć ciągle jeszcze za mało) i nie tylko w wojewódzkim Lublinie. Są w miastach powiatowych, a nawet we wsiach. Ale wtedy, na początku lat trzydziestych okresu międzywojennego, przedszkole było rarytatem nie lada.

Do mojego (obecna ul. Sławińskiego 8) szło się na pierwsze piętro zwykłymi schodami, poznaczonymi czerwonymi i niebieskimi plamami słońca wpadającego przez kolorowe szybki korytarzowego okna. Potem cego przez kolorowe szybki korytarzowego okna. Potem była szatnia, na lewo małe klasy, a na prawo sala „okropnie duża”, z filarem pośrodku. Przez całą zimę kołysały się pod sufitem tej sali na cienkich nitkach płateczki waty — „śnieg” jak żywy. Obok tej sali był mały pokój, do którego na „dzień dobry” i „do widzenia” wbiegało się, żeby pocałować panią Papiewską. Ten ceremoniał odprawialiśmy wszyscy, ile nas tam było (potem próbowałam obliczać nieraz, jaką to porcję pocałunków aplikowaliśmy co dzień p. Papiewskiej, znoszącej dzielnie te ataki czułości: dzieci z trzech grup z przedszkola i z sześciu klas szkoły powszechnej).

(Dokończenie na str. 3)

Z WYSTAWY MARII URBAN W LUBLINIE

Nieśmy dzieciom pomoc w nauce i radość w zabawie



NIE WIERZMY W ZŁE UROKI

ZBIGNIEW UCHNAST

KRASNOSTAWSKI Zespół Teatralny im. St. Wyspiańskiego — to rówieśnik Polski Ludowej. Powstał w 1944 roku jako samodzielna jednostka kulturalna i pozostawał nią aż do roku 54; kiedy to wszedł w skład zespołów miejscowego Domu Kultury.

„Świętoszek” i „Warszawianka”, Słowacki i Porazińska, „Baba Jaga” i „Wyspa pokoju”, Fredro z Konopnicką, „Jasełka”, poprzedzone Winawerem, „Dom otwarty” w towarzystwie Mickiewicza i Gogola... (nie zachowując chronologicznej kolejności) — czyli wszystko, w owym specyficznym rozumieniu tego słowa, które może oznaczać zabiegliwość, skrzętność.

Niewątpliwie kierownictwo Teatru wystawiając w danym czasie taką, a nie inną sztukę, miało na względzie i konkretniejsze powody: że sztuka dawno lub w ogóle w tym mieście nie grana, że aktualna, albo że po prostu — świetna, lub także, niestety, iż dana rzecz odpowiada pod względem liczby i wieku posiadającym przez Zespół w tym czasie artystom-amatorom. Stan tych ostatnich ulegał bowiem zbyt częstym zmianom ilościowym, no i automatycznie — jakościowym. W tej chwili Zespół dysponuje tylko kilkoma aktorami „starymi”, których bez wahania poznajemy na scenie. Resztę trzeba każdorazowo możnolnie kooptować.

Ostatnią rzeczą Teatru — to „Bajka” E. Szelburg-Zarembiny. Premiera odbyła się 5 lutego. Zainteresowanie widzów (przeważała młodzież szkolna) więcej niż duże. Gra niemal wyrównana, a raczej dyskretnie wyrównywana (trzeba dodać, że niektórzy artyści wzięli swe role dosłownie na kilka dni przed premierą). Do tego pomysłów kostiumy i, jeśli można się tak wyrazić, ciekawie „skondensowane” dekoracje sprawiły, że spektakl należy zaliczyć do udanych.

Warto wtrącić, iż na „Bajkę” kierownictwo zespołu po raz pierwszy zaprosiło 25 kobiet z domu dla ociemniałych w Zółowie, licząc na ich wrażenia słuchowe. Ten swego rodzaju humanitarny eksperyment nie zawiodł. — Wszystkie były uszczęśliwione — jak wyznała opiekunka niewidomych.

Mimo że sztuka wypadła na czwórkę z plusem, to jednak daje się w niej zauważyć charakterystyczną „nowość” niektórych artystów. Ten termin w ogólnym rachunku „Bajki” nie jest ujemny. Nie można bowiem obecnie rozpatrywać granego dramatu z punktu widzenia tylko „czystej sztuki” bez pierwiastka społeczno-humanistycznego, jakim jest w tym wypadku widoczna dążność świeżych aktorów do bezustannego samodoskonalenia się. Po drugie — w przedstawieniu „Baj-

ki” brało udział 35 osób bardzo różnych, zarówno pod względem stażu teatralnego, wieku, jak i rodzaju szkół, do których niektórzy uczęszczają, a co za tym idzie — zainteresowań oraz gatunku zajęcia artystów pracujących. Wyliczmy: Szkoła Podstawowa nr 1, Szkoła Podstawowa nr 5, Liceum Ogólnokształcące, Technikum Rolnicze, Zasadnicza Szkoła Metalowa, młodzież pracująca, starsi, „starzy” artyści.

Objaw na wskroś pozytywny, że tylu tak różnorodnych ludzi potrafiła zgromadzić krasnostawska scena we wspólnym celu. Pozytywny na „tymczasem” i wiele obiecujący w ogóle. Na tym już można coś budować.

Przyjrzyjmy się jednak sprawie bliżej.

Zespół podczas piętnastoletniej działalności wystawił 30 sztuk, czyli przeciętnie dwie rzeczy do roku. To proste matematyczne obliczenie w tym wypadku bardzo zawodzi. Wystarczy spojrzeć na chronologiczne zestawienie wszystkich sztuk granych w okresie istnienia Teatru. Przez pierwsze lata po wyzwoleniu zespół dawał po 5-6 sztuk rocznie, a mniej więcej po roku 1948 na wykazie istnieje jakby rysa, dzieląca zestawienie na dwie odmienne części. Teraz Teatr wystawia 1-2 sztuk w ciągu roku, a nawet widać lata bezplodne (np. 1950, 51, 55), które nie dały ani jednego tytułu.

Nie wiem, czy rozporządzając tylko 15-letnią działalnością Teatru i mając do analizy 30 sztuk, ma się prawo do uogólnień. Myślę, że tak, bo 30 sztuk na przestrzeni 15 lat może być „epoką”.

Może zbyt prosto, ale wydaje mi się, iż większe zainteresowanie się amatorską pracą na miejscowej scenie, które przypada akurat na pierwsze lata po wyzwoleniu, należy tłumaczyć przede wszystkim właśnie wyzwoleniem, świeżą polskością Teatru, a więc stanem nadnormalnym. Późniejsze lata — to okres już raczej wyrównany, w którym wystawia się z trudem przeciętnie 1 sztukę rocznie.

Nie mam na razie zamiaru sugerować myśli o ogólnym upadku teatru, bo chodzi tu tylko o jeden prowincjonalny zespół, zresztą na złe horoskopy zawsze będzie czas. Chcę tylko na ten temat powiedzieć kilka słów z własnego podwórka. Może uda się coś wytargować na korzyść lokalnego zespołu od rzekomo zamierzającej miejscowej Melpomeny.

Sygnalem przeżywania się teatru, jest chyba przede wszystkim brak frekwencji. Na to krasnostawski zespół nie może narzekać. Widownia była i jest zawsze pełna, czy to na miejscu, czy w terenie, dokąd przedtem wyjeżdżano (np. Zwierzyniec, Szcze-

brzeszyn, Rejowiec, Wysokie, Turubin, Zółkiewka, Fajslawice, Rybczewice, Izbica itd.). Sale zawsze były pełne, aktorzy otrzymywali szczerą brawa, a nawet kwiaty. Skąd więc spadek granych sztuk?

Krasnostawski zespół teatralny, mówiąc ogólnie, jakoś nie cierpi na nadmiar ludzi chętnych do współpracy z miejscową sceną. Rzecz tym ciekawsza, że w tym mieście nie ma właściwie „pozytywnego” obiektu, który by tak bez reszty odrywał młodzież i starszych od współpracy z tutejszym Teatrem. Bo chyba nie czynią tego: kino, sport i świetlica w Domu Kultury. Mogłoby to niepochlebnie świadczyć o pracy kierownictwa zespołu i doborze sztuk, gdyby nie powyższe przykłady najlepiej ilustrujące stosunek publiczności do granych utworów.

Powody żenująco słabego udziału młodzieży w pracy na scenie podaje się różne: brak czasu, inne zainteresowania młodych, niewłaściwy stosunek nadrzędnych czynników kultury do tych spraw itp. Być może te argumenty też są słuszne, ale w rozmowie z niektórymi tutejszymi działaczami kulturalnymi oraz innymi ludźmi, którzy z różnych względów są związani z zespołem, jako najważniejsze, a często jedyne wytłumaczenie takiego stanu rzeczy, słyszy się tylko zrezygnowane, lakoniczne „Krasnostaw...” — wypowiedziane w trybie straszliwie oznajmującym. To jest całe tłumaczenie. W tym mieście się wszystko. Taka interpretacja ma jedną niezaprzeczoną zaletę: jest wygodna, bo przy jej pomocy można bez trudu „odfajkować” niedługo kłopotliwy problem.

Bez wątplenia każde miasto ma swój specyficzny charakter. Ton zaś owego „Krasnostaw” sugeruje, iż marazm jest nieodłączną cechą właśnie tylko Krasnostawu. Toteż ciekawe czy w innych miejscowościach naszego województwa istnieją podobne kulturalne zagadnienia, które się kwitują słowami: „Puławy...”, czy „Biała Podlaska...”!

Nie będę tutaj „rozgrzyzał” tego „Krasnostawu”. Ograniczę się tylko do stwierdzenia, iż jest to słówko demerujące i jakby czarnoksiężkie. Ale w złe uroki nie wierzymy. Powtarzam nie wierzymy!



Jedno z dwustu...

PIOTR GOCH

Kock. Rynek i 25 ulic. Na rynku skwerek z tablicą pamiątkową Tadeusza Kościuszki. Tak. Historia nie oszczędziła temu miasteczku krwawych epizodów swych dziejów. Każdy, kto tu przyjeżdża, skazany jest na wysłuchanie opowiadań o bohaterskim pułkowniku Berku Joselewiczu, który zginął tu w 1809 r. w potyczce z wojskami austriackimi i dzielnym gen. Kleebergu, jego armii i ostatniej w kampanii wrześniowej krwawej walce stoczonej właśnie tu pod Kockiem. Te dwa nazwiska — symbole, mocno tkwią w świadomości mieszkańców tej miejsciny. Co roku przywołuje się je do pamięci, czci — ich heroiczne czyny.

Przed wojną Kock słynął z uszczypliwych porównań i humorystycznych anegdot. Ten stary historyczny gród Jądźwiniów, położony nad Tysmienicą, był stawiany za wzór... ospałości i ślamazarności instytucji. Był jednakże dosyć żywym ośrodkiem rzemieślniczym i kupieckim. Ale dalszy jego rozwój, wykorzystanie znikomych wprawdzie możliwości terenu dla podźwignięcia gospodarczego, nie zaprzętało nikomu głowy. Przylgnęło

wówczas do Kocka powiedzenie: „ani wzrasta, ani upada”.

Obecnie mieszka tu dwa i pół tysiąca mieszkańców (przed wojną 4 tysiące). Połowa ludności trudni się wyłącznie rolnictwem i ono stanowi główne źródło dochodów i utrzymania. Druga połowa — to pracownicy miejscowych zakładów i instytucji, których jest tu jedenaście. Ale praca w zakładzie nie jest jedynym źródłem utrzymania, jest raczej tym dodatkowym; własna działka ziemi i dla tej części ludności jest podstawą egzystencji. Wielkość gospodarstw jest jednolita. Na przeszło 500, czterysta pięćdziesiąt stanowią gospodarstwa do 3 ha. Gospodarstw powyżej 5 i 7 ha jest tu łącznie 49. A więc miasteczko... rolnicze, gleba bardzo licha, nieurodzajna. Odbija się to wyraźnie na sposobie życia, wyglądzie osady. Gdyby nie możliwość „dorobienia” paru złotych poza rolnictwem, obraz takiego miasteczka byłby naprawdę przynębiający. Stąd — hasło aktywizacji gospodarczej małych osad i miasteczek.

Kock nie posiada jakichś wyjątkowych możliwości i warunków rozwoju. Jest przeciętną, a może nawet jeszcze mniej niż przeciętną miejsciną, jak dziesiątki jemu podobnych, które mogą awansować w hierarchii ekonomicznej bądź spaść do rzędu marnie vegetujących osad.

Miasteczko wykorzystuje każdą szansę poprawy swej sytuacji, ale jak wiele jest tu jeszcze do zrobienia. Nie planuje się szumnie budowy nowych zakładów, czujnie natomiast wypatrują ojcowie miasta każdą okazję rozbudowy już istniejących. Uruchomiony niedawno zakład włókienniczy korzysta

z surowca sprowadzonego aż z Sarnowa, mimo że gleby wokół Kocka nadają się pod uprawę potrzebnej rośliny. Ażeby wyeliminować zbyteczne podrażanie kosztów produkcji, władze powiatowe przydzieliły 40 ha gruntów z Państwowego Funduszu Ziemi pod plantację. Już w tym roku ma ruszyć przetwórnia włókiennicza, na której budowę są dotacje w wysokości 4 mln zł. Inwestycja jest dwuletnia. Po zakończeniu budowy, znajdzie tu zatrudnienie blisko 200 osób. Przeszkolono na początek 20 pracowników, którzy staną do produkcji, a dalsze 40 osób przejdzie podobne przeszkolenie w najbliższym czasie.

Rozbudowa POM-u opiewa na sumę 8 mln zł, chodzi tu przede wszystkim o rozszerzenie działalności usługowej i naprawczej. Niebawem także Spółdzielnia Pracy „Włókno Krajowe” rozszerzy swą produkcję o jeden dział przedzielniczy.

Sprawa zakładów pracy, stałego rozszerzenia ich produkcji i rozbudowy jest bardzo czułą struną w instrumentach gospodarczym Kocka. Potencjalni bezrobotni, którzy zmuszeni byłiby emigrować ze swoich rodzimych gniazd (nie bardzo mają na to ochotę) przy pełnym zrealizowaniu założeń rozbudowy zakładów znajdują na miejscu zatrudnienie.

Ostatnimi czasy w Kocku bardzo poważnie i dużo mówi się o przeksztalceniu miasteczka w ośrodek turystyczno-wypoczynkowy. Do rozmyślań na ten temat skłonili miejscowe władze obserwacje stale zwiększającego się zainteresowania Kockiem i jego okolicą amatorów wczasów

(Dokończenie na str. 11)

LUBELSKIE WĘDRÓWKI W CZASIE

Entuzjasta książki

JOLANTA KOWALCZYKÓWNA

„Pamiętajmy zawsze, żeśmy, mimo wszystko, ukochali książkę aż do śmierci...”. Te słowa Zygmunta Mocarskiego wypowiedziane kiedyś do przyjaciela stanowią credo jego życia i jednocześnie są najdoskonalszym tego życia streszczeniem.

Zamieszany bibliograf, bibliotekarz, znawca sztuki drukarskiej, autor wielu prac naukowo-badawczych, szermierz polskości na Pomorzu urodził się w Zalesiu (powiat woickowski) 15.IX.1891 r. Po ukończeniu gimnazjum filologicznego w Kownie w 1913 r. udaje się do Petersburga na studia prawnicze, co w rodzinie Mocarskich należało do tradycji. Najmłodszy jednak — entuzjasta książki od najmłodszych lat — znajduje w Petersburgu czas na studiowanie oprócz prawa także bibliografii i bibliekoznawstwa oraz bierze czynny udział w naukowym życiu tamtejszej Polonii.

W 1918 r. przyszył autor „Kultury umysłowej na Pomorzu” kończy uniwersytet i w tym samym roku wyjeżdża na stałe do Polski.

W kraju tymczasem po odzyskaniu niepodległości odradza się na nowo życie naukowe. W Lublinie organizuje się Uniwersytet. Tu właśnie przybywa Zygmunt Mocarski i od 1.I.1919 r. obejmuje obowiązki bibliotekarza Biblioteki KUL.

W Lublinie też wydaje swą pierwszą oddzielną publikację: „O polskiej państwowej polityce bibliotecznej”. W pracy tej dowodzi autor konieczności otrzymywania przez większe biblioteki polskie „egzemplarza obowiązkowego”. Do tych większych bibliotek zalicza Mocarski także lubelską i pisze m. in. „Takie rozmieszczenie druków (w większych bibliotekach w Polsce — przyp. mój J.K.) nie tylko pozwala centrom byłych zaborów być w dalszym ciągu terenem pracy naukowej, lecz podnosi Lublin — miasto uniwersyteckie — do rzędu ognisk kultury polskiej. Zgromadzenie egzemplarza obowiązkowego przez lat kilka w tym mieście wytworzy warunki odpowiednie dla pracy naukowej w wielu zakresach”.

Mocarski przebywał w Lublinie do sierpnia 1919 r. Niestety, niewiele śladów jego pracy pozostało do dziś w Bibliotece. Wiadomo (informację tę zawdzięczaam pracownikom KUL), że opracował on Regulamin Biblioteki (zostały jedynie kopie). Zachowało się także wspomnienie o nim zawarte w Pamiętniku p. Emili Szeliga-Szeligowskiej (w dziale rękopisów).

W sierpniu 1919 r. Mocarski przenosi się do Warszawy, gdzie bibliografia, drukarstwo i bibliologia stają się szerokim kręgiem jego zainteresowań.

Gdy w roku 1923 obejmuje posadę w Toruniu — otwiera się przed nim wymarzone pole pracy. Mrówczy żywej przyszłego dyrektora Książnicy Miejskiej im. Kopernika nie zna chwili wycieczki. Tu, w Toruniu zostaje sekretarzem Towarzystwa Naukowego, tu zakłada Towarzystwo Bibliofilów im. Lelewela, którego jest prezesem, tu wygłasza pogadanki dla radiosłuchaczy i młodzieży gimnazjalnej, tu wrzeszcz publikuje szereg prac z zakresu bibliografii, drukarstwa, bibliekoznawstwa i historii kultury. Zamieszka również wiele artykułów w czasopiśmie takich jak: „Nowa Książka”, „Tygodnik Toruński”, „Jantar”, „Pamiętnik Literacki”, „Wiadomości Literackie”, „Warszawa”.

Jego możnolne trudy zostają w roku 1928 uhonorowane Złotym Krzyżem Zasługi.

W okresie wojny Mocarski przebywa w Warszawie. Pracuje tu w Archiwum Akt Nowych. Jednak przeżycia września 1939 r. (skazany na rozstrzelanie cudem ocalał), depresja psychiczna i nekajający go niedostatek powodują rychłą śmierć, dnia 16 września 1941 roku.

X

Czytelnik chcący bliżej zaznajomić się z pięknym i ofiarnym życiem Zygmunta Mocarskiego, poznać lepiej jego sylwetkę duchową, napotyka dość duże trudności. Nie wszystkie bowiem jego dzieła są szeroko dostępne, korespondencja jego nie jest wydana, brak nie tylko obszerniejszych prac omawiających rolę działalności znakomitego bibliologa, ale i wzmianek dotyczących tej działalności jest niestety niewiele. Tymczasem materiały są. W Książnicy Miejskiej w Toruniu spoczywa jego liczna korespondencja, ocalały też cenne zbiory prywatne, gromadzone z bibliofilską pasją, a włączone do Biblioteki Książnicy w Toruniu.

Może by warto o tym pomyśleć w XX rocznicę śmierci Zygmunta Mocarskiego, wielkiego entuzjasty książki?

Bibliografia ważniejszych dzieł Zygmunta Mocarskiego

O polskiej państwowej polityce bibliotecznej, Lublin 1919; O Książnicy Miejskiej im. Kopernika w Toruniu, Toruń 1927; Potrzeby bibliotek naukowych, Warszawa 1929. Kultura umysłowa na Pomorzu, Toruń 1931; Książka w Toruniu do roku 1793, Toruń 1934; Stan badań polskiego drukarstwa, b. m. 1934; O potrzebie wyższego szkolnictwa na Pomorzu, Toruń 1938; Z zagadnień piśmiennictwa polskiego na Mazurach Pruskich, Poznań 1939. Exlibris łowicki... Z rękopisu po śmierci autora przygotował Stanisław Lisowski, Toruń 1947.

Ważniejsze prace i wzmianki o Zgumencie Mocarskim

„Zygmunt Mocarski” opr. Stefan Burhardt, Toruń 1946; Stanisław Lisowski: Wstęp do „Exlibrisu łowickiego...”, Toruń 1947.

RAZEM, MŁODZI PRZYJACIELE

Z INICJATYWA tego spotkania wystąpili warszawiacy, jako że w stolicy najwięcej ich przebywa, ale przyjechał i przedstawiciel Łodzi, i wierny rodzinemu miastu chełmiańskiemu, i nie zabrakło nawet tkwiącego na dalekim posterunku gryficzana, ścisłej — reprezentanta wsi pomorskiej; łącznie z piszącym te słowa zebrało się dziesięć osób. Taki miniaturowy zjazd koleżeński na nadzwyczajne posiedzenie b. Koła Literackiego przy b. Seminarium Nauczycielskim w Chełmie nie całego Koła, lecz jego aktywistów sprzed 25, sprzed 30 lat, co i dziś niezależnie od pracy zawodowej z literaturą czynnie lub biernie obcuje. Dzieciom moich wychowanków, dziewczęciu pełnowartościowych ludzi, w większości z mniej lub więcej znanymi nazwiskami.

Wspólna kolacja, nazajutrz wspólny obiad — wymiana myśli, dzielenie się przeżyciami, czytanie wierszy, przejażdżka po Warszawie — w sumie półtora dnia pożytecznie i emocjonalnie spędzonego przez wszystkich.

Ich dawny nauczyciel, opiekun Koła Literackiego, czuł się wśród nich jak w bliskiej rodzinie, różnica lat się zatarta, moi „chłopcy” zbliżają się do pięćdziesiątki lub ją przekroczyli, niektórzy z nich mają dorosłe dzieci, a jeden, podobnie jak ich niegdysiej-

szy wychowawca, jest również dziadkiem! A jednak wspomnienia łączące naszą młodość i przyjacielski nastrój, jaki od początku zapanował w naszym gronie, magicznie odsłaniały mi z ich twarzy nawarstwienia lat i doświadczeń życiowych i ich oblicza zajaśniały mi świeżością tamtej utraconej doby. Bo co tu gadać — ich zapal, temperament, praca, zainteresowania, żywy stosunek do spraw dzisiejszych to przecież znamiona młodości. I paradoks, wpisany mi przez jednego z nich do pamiątkowego albumu z r. 1934, ofiarowanego mi wtedy wraz z ich wierszami na imieniny: „Młodość przychodzi z wiekiem” — ma w tym wypadku całkowite pokrycie.

Bo jakież młody jest ich autor, prezes Zarządu Głównego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych, z dumą oprowadzający nas po nowych dzielnicach Warszawy na Bielanach i Żoliborzu i wskazujący poszczególne bloki budowane przez te spółdzielnie, domy wyrastające wszędzie jak grzyby po deszczu. A powstają one w całej Polsce i prezes rozjeżdża wołgą po wszystkich województwach, odbywając narady związane z palącym zagadnieniem nie tylko dachu nad głową, ale i wychowania ludzi mieszkających pod tym dachem w poszanowaniu dobra wspólnego, w solidarności i umiłowaniu porządku. Odwiedza i obce państwa — Francję, Szwecję, aby konfrontować nasze doświadczenia z tym, co się na Zachodzie pod tym względem dzieje. A ten zapalony działacz spółdzielczy, autor trzech zbiorów poetyckich wydanych przed wojną, znajduje jeszcze czas na lekturę czasopism kulturalnych i bieżącej literatury i marzy o napisaniu powieści.

Inny jest poeta, który niedawno obchodził 30-lecie pracy literackiej, mający za sobą dwa przedwojenne tomiki, jeden, który ukazał się przed kilku

(Dokończenie na str. 8)

Wystawa w CBWA w Lublinie



MARIA URBAN — HULA HULA (OLEJ)



Maria Papiewska

(Dokończenie ze str. 1)

Była nieduża, drobna, szczupłutka, rozmiłowana w dzieciach i w pięknie. Siwe włosy starannie ułożone, czarne suknie jak spod igły, pod szyją bielutkie, delikatne jak pajęczyna kołnierze lub żaboty. Siedzi przy małym, damskim biurczku, w smudze słonecznego światła — taka pozostała w moich dzieciennych wspomnieniach. Choć nie, nie tylko taka. Pamiętam ją jeszcze jak siedzi przy czarnym, lśniącym pianinie i gra, a my tańczymy, aż fruwa „śnieg” pod sufitem sali. I jeszcze jak z pękiem kolorowych kwiatów w dłoni (kwiaty kochała też bardzo) opowiada nam o dziwnych zycząjach i prawach rządzących roślinnym światem. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Maria Papiewska była wybitnym pedagogiem. Później, gdy byłam już starsza, dowiedziałam się o niej wiele, boć była postacią bardzo znaną na terenie Lublina, w którym spędziła właściwie całe swoje życie. Urodziła się w roku 1876, a kształciła w kraju i za granicą (m. i. w Paryżu i Brukseli). Pracę zaczęła w Lublinie, w szkole freblowskiej, której wkrótce stała się właścicielką i przekształciła ją w przedszkole — to swoje ukończone przedszkole, które prowadziła aż do chwili zamknięcia go przez Niemców w 1939 r. W roku 1908 otworzyła dla kształcenia bon i nian „Zakład Freblowski”, który po pewnej ewolucji i otrzymaniu praw w roku 1929 stał się Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli. W 1918 roku Maria Papiewska organizuje swoją trzecią z kolei placówkę oświatową: 6-klasową szkołę powszechną.

Ale to wcale nie koniec jej działalności. Przed pierwszą wojną światową brała udział w ruchu niepodległościowym. U niej przechowywano broń, nielegalne wydawnictwa, a nieraz i zakonspirowanych działaczy rewolucyjnych.

O Marii Papiewskiej można powiedzieć, że właściwie do końca życia pozostała... harcerką, choć nie wiem, czy kiedykolwiek formalnie była członkiem

Pawie oczka

tej organizacji. Popierała ją bardzo na terenie swojej szkoły i opiekowała się nią troskliwie. Pamiętam, jak dzieci ze starszych klas z uznaniem opowiadały, że była z nimi na obzie i spała w namiocie (miała już wtedy około 60 lat). A w czasie ostatniej wojny, gdy podczas bombardowania, w pobliżu przedszkola wybuchł pożar, zwołała mieszkających obok harcerzy i przy ich pomocy ogień ugasiła.

Dla Marii Papiewskiej nie istniał podział na dzieci lepsze i gorzej urodzone. Wśród moich koleżanek i kolegów były córki lekarzy i adwokatów, synowie robotników i urzędników. Jej szkoły były wprawdzie zakładami prywatnymi, ale wiele dzieci nie płaciło nic, lub sumy, jak na owe czasy niewielkie. Toteż właścicielka trzech cieszących się wielkim i zasłużonym uznaniem zakładów szkolnych nie dorobiła się majątku. W ostatnich latach swego życia cierpiała nawet niedostatek, ale nie czuła się z tego powodu pokrzywdzona. Żyła dla dzieci. Kiedy zamknięto jej wszystkie trzy zakłady, zorganizowała w swoim mieszkaniu tajne nauczanie.

...Na niedużym pudelku z choinkowymi zabawkami chowałam niemądre i sentymentalnie jakieś zakapane różową stearyną „pawie oczko”, zakurzonego, wyblakłego krasnoludka z waty i łowicki „świat”, którego złocone nitki już dawno poczerwieniały. Ile razy wyjmuję z pudelka zabawkę, aby przybrać nimi wigilijne drzewko dla mojej córeczki, zawsze w końcu dochodzę do tych kilku staruszków, stwierdzam, że właściwie już dawno powinno się je wyrzucić... odkładam z powrotem. Może na przyszły rok? Wiem, że to śmiesznie przywiązywać się do kilku kolorowych papierków i zetłanych złotych nitek. Ale tak się jakoś dzieje, że właśnie one pozwalają mi znów przeżywać nastrój tamtych, dzieciennych przygotowań do choinki. Oto siedzimy przy niziutkich stolikach, przed nami naczynka z klejem, a pani Kasia, nasza wychowawczyni, za którą wszyscy przepadamy, rozdaje nam kolorowe kółeczka powycinane z papieru. Będziemy dziś kleić „pawie oczka” na choinkę. Trzeba to robić uważnie, równiutko, nie smarować klejem gdzie nie trzeba, bo pani Papiewska nie znosi brudnej, niestandardnej, byle jakiej roboty — o tym wiedzą wszyscy od przedszkolaków do seminarzystek. Wszystko musi być schludne, estetyczne, piękne. Za chwilę zastukają Jej kroki i zajrzy do nas. Obejrzy nasze „pawie oczka”, tu pochwali, tam zgani, tu pokaże jak robić i pójdzie do drugiego pokoju, gdzie starsza grupa kręci bibułki na kurpiowskie „rózyczki”. W całym przedszkolu leciutko pachnie tinkturą, którą rozrabia się złotko

do złoceń „światów” i makówek. I wie się na pewno, że święta są tuż, tuż. A potem przychodzi taki dzień, że całując panią Papiewską mówi się jej „wesołych świąt” i z pudełkiem prześlicznych, opartych na wzorach ludowych ozdób na choinkę maszeruje się do domu. Tyle przeszło od tamtej pory świąt z choinką i bez choinki, radosnych, spokojnych i tragicznych... Ale wystarczy tylko popatrzeć na te zniszczone drobniaki, klejone moimi niewprawnymi pięcioletnimi palcami, pod troskliwym okiem pani Kasi i pani Papiewskiej, żeby wywołać w sobie tamten nastrój troskliwej, rozumnej serdeczności, w której poznałem się z zakurzonym krasnoludkiem i poczerwiałym „światem”?...

MOJA córeczka też przynosi z przedszkola zabawkę na choinkę. Mniej niż ja, ale mają w sobie te same cechy: są estetyczne. O „pani Kierownicze” wiem, że kończyła seminarium Marii Papiewskiej. To tłumaczy mi wiele: i serdeczny, choć wymagający stosunek zarówno do dzieci, jak i do współpracowniczek, i to piękno, które na co dzień mieszka w przedszkolu, i wiele, wiele innych zjawisk.

...Poszłam do przedszkola mojej córki na noworoczną choinkę. W dużej, zalanej słońcem sali, wokół białego, „ośnieżonego” drzewka, pod którym przycupnęły leśne zwierzątka, tańczyły zachwycone przedszkolaki. Migotały na ich główkach kotki i misie, gwiazdki i księżycy. Tak, musiały stwierdzić bezstronnie, że „moje” przedszkole, które wydawało mi się tak piękne i wspaniałe, było o wiele skromniejsze. No cóż, mieściło się w oficynie starej kamienicy, podczas gdy to — w pomieszczeniu specjalnie na ten cel budowanym, z tarasem i balkonowymi oknami. A jednak jest coś, co je oba łączy bardzo mocno: atmosfera troskliwej, rozumnej serdeczności, w której poznałem się ciekawo, kolorowo, piękny świat, do którego należały kwiaty, i zwierzątka, i koszyczek własnoręcznie zrobiony z papieru, i czerwony autobus, i jabłuszka, i tata, i mama, i noworoczna choinka, i bajeczka o Śnieżce, i święto górnik, i pani Zosia, i pani Kierownicza, i pani Dentystka, i smutek z powodu zepsutej zabawki, i zamierzchnia już tragedia mokrych majteczek, i... Nie wątpię, że przedszkole pozostawiło mojej małej mile i mocne wspomnienia, że wywrze równie wielki wpływ na kształtowanie jej młodziutkiej psychiki, stosunku do świata i ludzi.

Na dole zrobił się ruch: wizytacja z Kuratorium. Nie wierzyłam przez chwilę własnym oczom... Moja „najmłodsza” pani Kasia otoczona dziećmi. Czyżby czas cofnął się aż tak daleko? Nie, czas się nie cofa. — Poznaje mnie Pani?

Gotowa jestem przysiąc, że pani Kasia nie zmieniła się zupełnie przez te... dziesięć lat, pomimo upływu czasu i zajmowanego obecnie poważnego stanowiska kierownika Referatu Wychowania Przedszkolnego w Kuratorium. Ja za to jednak trochę...

Stoimy obok siebie. Dlaczego kiedyś myślałam, że pani Kasia jest bardzo duża? Naprawdę przecież wcale nie jest wysoka. Wspominamy czasy odległe, choć w tej chwili właśnie wydają mi się wcale nie tak dawne. Dzieci tańczą wokół choinki w takt muzyki płynącej z pianina. Podniosę oczy i zobaczę czarno ubraną, drobną panią Papiewską. Nie, to przecież pani Zosia mojej córeczki. Ma jasne włosy i wesołą, czerwoną sukienkę...

...A jednak nie mogę pozbyć się wrażenia, że w tym ślicznym przedszkolu, wśród rozbawionych, zachwyconych dzieci, krąży dobry i mądry duch Marii Papiewskiej.

Alina Tomaszewska

Święto i 364 dni

JERZY DOSTATNI

Nie zwróciłbym na niego uwagi, gdyby nie wsiadł do trolejbusu środkowymi drzwiami. Dość elegancko ubrany, trzymał za rękę dwie córeczki w wieku około siedmiu i dziewięciu lat. Przejechałszy dwa przystanki, a nowy pasażer nie kwapił się z płaceniem za bilet. Może pracownik MPK i dlatego nie płaci? Jednak dzieci nie mają prawa jechać za darmo...

Ale oto trolejbus staje. Ojciec z córkami pospiesznie wysiada i chyłkiem niemal biegnie w stronę przecznic. Drogami uciekiniera i pytam:

— Dlaczego pan nie zapłacił? Przecież to...

— Czego pan ode mnie chce? Za co mam płacić?

— Jechał pan trolejbusem!...

— Ja? Chyba się panu śniło. A w ogóle to odczep się, ty...

Dalsza wiązanka wiadoma. Odchodzi przerażony. Nie przekleństwami. Przecież ten zupełnie przyzwoicie ubrany człowiek, aby nie wydać 1,80 zł, popełnił dwa przestępstwa: oszukaństwo i kłamstwo. Jeszcze bardziej straszne jest trzecie przestępstwo: oszukał i skłamał w oczach własnych dzieci. Uczy je oszukiwać i kłamać.

Zajrzyjmy do suchych, ale jakże tragicznych cyfr roczników statystycznych. Oto liczby nieletnich (w wieku 10—17 lat) skazanych prawomocnie za przestępstwa karne w poszczególnych latach, a w ostatniej rubryce procent tych przestępców w stosunku do młodzieży w tym samym wieku:

1956	—	13.201	—	0,44%
1957	—	15.019	—	0,49%
1958	—	16.821	—	0,52%
1959	—	19.730	—	0,57%

To są cyfry dla całego kraju. A w naszym województwie?

W wydziale dla nieletnich Sądu Powiatowego w Lublinie („teren działania” tego wydziału obejmuje 12 powiatów) otrzymuję takie zestawienie: 1958 — 525 przestępstw, 1959 — 697, 1960 — 811.

A więc stały wzrost — zarówno w cyfrach bezwzględnych, jak i procentowych. Trzeba tu sobie jednak uprzytomnić jeszcze jedno zjawisko. Zdaniem moich rozmówców z wydziału bardzo znaczna część przestępstw nieletnich jest — mówiąc językiem prawniczym — niewykryta. To znaczy dla władz. Wiele z nich rodzice lub sąsiedzi załatwiają we własnym zakresie, na wiele nikt nie reaguje, sprawcy wielu innych są w ogóle nieznanymi.

Oto opinia, którą napisali sędziowie pod pewnym zestawieniem naszego sądu dla nieletnich:

„Jest faktem bardzo niepokojącym niezwykle słaba znajomość u dorastającej młodzieży zasad współżycia społecznego. Młodzież wchodzi w życie zupełnie nie zdając sobie sprawy z konieczności poszanowania dobra społecznego, liczenia się z opinią, ponoszenia odpowiedzialności za swoje postępowanie”.

Jakże nie oskarżać was, ojcowie-alkoholicy? I was, przymilne ekspedientki ze sklepów, podające poza kolejną butelkę wódki drżącym ręką pijaka? I was, handlowcy wyższych szczebli, którzy śrubujecie plany obrotu wszędzie tam, gdzie sprzedaje się wódkę? I was, bufetowe i kelnerzy restauracji czy barów, którzy najsprawniej obsługujecie właśnie tych, którzy zamawiają wódkę? I was — potajemni handlarze, producenci bimbru, specjaliści w robieniu nalewek? I tamtych, i owych? Co czwarty młodociany przestępca pochodzi z rodziny, gdzie przynajmniej jedna dorosła osoba jest nałogowym alkoholiczkiem!

Oto 70-letni pan na poważnym stanowisku. Po raz trzeci stara się o rozwód. Winę za zdradę małżeńską i rozkład pożycia chętnie bierze na siebie. Koronnym jego świadkiem jest 17-letnia córka, której obiecał półtora tysiąca miesięcznych „apanaży”. Opowiada, płacząc się w zmyślonych historiach, jak to ojciec pod nieobecność matki sprowadzał do domu inne kobiety, a ją posyłał do kawiarni, jak poniewierał żonę, jej matkę, z którą przeżył ponad 20 lat.

Oto zamożny ojciec głęboko przekonany o słuszności swego postępowania. Za zdanie matki obiecał synkowi — i kupił mimo oblania — najbardziej prawdziwy samochód. A tymczasem młodzieniec zamiast wkuwać fizykę czy historię sprawdził już głębokość kieliszków we wszystkich lubelskich restauracjach, poznał smak płatnej miłości i bezpłatnego leczenia w przychodni chorób wenerycznych. Rezultatem tych doświadczeń życiowych synka była czynna zemsta w jakimś zauku, zakończona sądowym wyrokiem...

Niezwykle szeroka jest gama błędów wychowawczych, popełnianych przez rodziców. Brak konsekwencji w postępowaniu, raz lekceważenie, innym razem przecenianie potrzeb dziecka, ograniczanie się tylko do zaspokajania jego potrzeb materialnych, zmiana zakazów i poleceń zależnie od własnego humoru, szafowanie absurdalnymi obietnicami czy groźbami (dostaniesz samochód, czy pójdiesz do szkoły!), faworyzowanie jednego dziecka kosztem pozostałych, brutalne kara cielesna, ciągłe wypominanie raz popełnionego przestępstwa, ustępowanie — zwłaszcza młodszemu pociechom — dla świętego spokoju, żądanie manifestacyjnej skruchy, brak zainteresowania tym, czy dziecko odrobiło — i jak — lekcje, czy chodzi do szkoły, co robi wieczorem, skąd wraca, skąd ma pieniądze na kino, lody czy różne przedmioty, rzekomy brak czasu na rozmowę o audycji radiowej, filmie, książce... I własny, codzienny przykład...

Chociaż długi, wcale to niepełny wykaz błędów, popełnianych przez nas codziennie. Ponad 60 proc. dzieci ucieka z domu rodzicielskiego właśnie wskutek takich błędów.

Podobnie niestety dzieje się nieraz w szkole. To prawda, że 30 czy 40 dzieci to problem dla nauczyciela naprawdę ciężki. Nielatwo poznać charakter każdego, jego warunki domowe, własne, dziecięce kłopoty i smartwienia. Zdarza się wcale nie rzadko — jak opowiadają moi rozmówcy — że wlepiona lekkomyślnie dwójka staje się początkiem całej tragedii. Trudno przecież żądać od dziecka, aby wobec całej klasy wyznało, że nieprzygotowanie lekcji było wynikiem domowej awantury czy pijackiej rozróbki ojca. Szybko, niezmiernie szybko narasta zniechęcenie najpierw do jednego nauczyciela, potem do całej szkoły. Rozpoczynają się wagarzy. Najpierw ukradkiem, w samotności, potem już całą gromadą. A dziecko — podobnie jak dorosły — wcale nie chce być gorsze od innych. Gdy nie może popisać się na lekcji, gdy następnego dnia nie może się zrehabilitować w oczach nauczyciela i kolegów — pragnie, chce, z jakiegoś zewnętrznego nakazu musi imponować. A więc nieposłuszeństwo, arogancja, złośliwość w klasie, na dziedzińcu, po drodze do szkoły. Zjawia się naturalnie pierwszy papieros, pierwszy kieliszek wina, pierwsza gra w karty. Na to potrzeba pieniędzy. Drobną kradzież pióra kolegi czy monety z ojcowskiej kieszeni szybko przestaje wystarczać...

W pierwszych latach po wojnie wzrastającą liczbą przestępców młodocianych tłumaczyliśmy głównie warunkami okupacji i nowojennych trudności. Te zjawiska należały już do przeszłości. Oto jeszcze dwie cyfry dotyczące tych, którzy popełnili przestępstwa karne (wskryte) przed ukończeniem 13 roku życia. A więc urodzili się po wojnie, wychowali w warunkach coraz większej stabilizacji gospodarczej. Na terenie naszego



Maria Urban — Dziewczynka z kotkiem (olej)

Dzieci Marii Urban podszyte abstrakcją

JANINA STASIAKOWNA

W lokalu lubelskiego CBWA otwarta jest obecnie wystawa prac malarzki Marii Urban. Ta sama wystawa eksponowana była w marcu w Stołecznym Domu Kultury w Warszawie przy ul. Elektoralnej 12.

Są to pierwsze indywidualne pokazy prac malarzki. Obrazy jej można było oglądać dotychczas na wystawach zbiorowych, razem z grupą młodych artystów w Lublinie w 1957 r., na wystawach Lubelskiego Okręgu ZPAP oraz na Ogólnopolskiej Wystawie Młodych w Sopocie w 1959 r.

Warszawski debiut Marii Urban spotkał się w stolicy z serdecznym przyjęciem. Na otwarciu przybyło wielu artystów i zainteresowanych sztuką widzów, kronika filmowa, telewizja. Wypowiedzi na temat wystawy zamieściła Trybuna Ludu, Kurier Polski, Walka Młodych, Stolica.

Obecna wystawa Marii Urban obejmuje cały niemal jej dorobek artystyczny, reprezentujący dwa zdecydowanie różne nurty w tej sztuce. Obok obrazów figuratywnych, których tematem wyłącznie niemal jest dziecko, Urbanówna wystawiła szereg prac abstrakcyjnych.

Wielu wybitnych twórców, jak Makowski czy Wojtkiewicz, zainteresowało się dzieckiem jako tematem malarzkim. Motyw ten spotkać można także u Wyspiańskiego. Szukanie jakichkolwiek analogii czy wpływów w tym wypadku wydaje się zbędne. Podobnie jak dotychczas, tak i teraz w wyborze tematu, niż w potraktowaniu go. Dzieci Marii Urban są proste, zwyczajne i bardzo „dziecinne”.

„Autorka ukazała nam świat dziecka, widziany oczami dziecka” — napisał ktoś w książce pamiątkowej. Zdanie to wykorzystala zresztą „Walka Młodych” w krótkim omówieniu wystawy.

Obrazy Urbanówny są bardzo ciepłe, liryczne, kameralne. Sztuka ta potrafi przemówić do szerokiego kręgu odbiorców. O dużej wrażliwości malarzki świadczą jej obrazy i ulubiony temat — dziecko.

W początkowych pracach figuratywnych interesuje ją głównie forma i rysunek, kolor znajduje się na dalszym planie. Dominującą rolę odgrywa kontur, zaznaczony mocną, czarną

linią. Obrazy te sprawiają wrażenie podkolorowanego rysunku. Z czasem pojawia się deformacja, niespokojne podziały płaszczyzny z wyraźną skłonnością do kubizowania. Barwy stają się mocne i zdecydowane, spotyka się bardzo jaskrawe zestawienia kolorów, utrzymany jednakże w ciepłych tonacjach. Za przykład mogą tu posłużyć „Dzieci pomarańczowe”, czy też „Główka czerwona”.

Warto nadmienić, że obrazy Marii Urban są poprzedzane wieloma szkicami i studiami z natury, których syntezą są prace pokazane na wystawie.

Abstrakcję uprawia ona równolegle z malarstwem figuratywnym. I na tym polu spotkać można kompozycje udane, dość interesujące. Obrazy abstrakcyjne sprawiają jednak wrażenie twórczości impulsywnej, nie przemyślanej, „na wyczucie”, dlatego chyba są tak nierówne. W poszukiwaniach abstrakcyjnych zainteresowała Marię Urban kolor. Nie pozostało to bez wpływu na malarstwo figuratywne. Gama kolorystyczna obrazów z ostatniego okresu uległa znacznemu uspokojeniu, ale zyskała na jakości. Obrazy są bardziej stonowane, komponowane nie tylko kreską, lecz i kolorem. Pod tym względem zasługuje na uwagę praca pod tytułem „Pierwsze kroki”, utrzymana w tonacji brązowej, wzbogacona interesująco akcentami białymi.

Głównym nurtem twórczości Urban jest zdecydowanie malarstwo figuratywne. Wdzięczna tematyka, jaką jest dziecko i jego świat, odpowiada najbardziej jej twórczemu temperamentowi.

Warto nadmienić, że malarzkę przerosło o wystawienie prac także w Łodzi i Szczecinie.

POETYCKIE MALARSTWO

„Diabeł nie śpi” — to tytuł jednej z prac wystawionych przez Macieję Makarewicz na wystawie w salach CBWA w Lublinie.

Artysta miał rację. Obrazy jego mają bardzo dużo poezji i liryki, nawet „literatury”, dostrzegalnej wyraźnie poza treścią malarzką jego obrazów. Każdy wrażliwy na sztukę widz powinien ją zrozumieć i odczuć. Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, że bardzo wiele obrazów Makarewicz można dosłownie niemal „rozłożyć na czynniki pierwsze”. Każdy kawałek płótna, papieru czy deski wykonany jest z wielką precyzją, niemal

(Dokończenie na str. 6)

województwa stanowili oni przed dwoma laty 27,6 procent nieletnich przestępców, a w następnym roku już 31,6 procent.

Długo zastanawiałem się, pisząc ten artykuł, czy jest odpowiednia pora na jego opublikowanie. Bo właśnie w dniu 1 czerwca dajemy naszym milusińskim misie, kolorowe książki, kokardki, rajstopki, ołówki, bućki czy stolicy. To dobrze, tak trzeba. Ale kalendarz ma swoją wymowę, po święcie — 364 następne dni. Dni, w których będziemy kształtowali charakter i przyszłość naszych własnych i cudzych dzieci. Niech więc Czytelnicy nie mają mi za złe, że przy święcie mówię o kwestiach szeroko znanych, ale wciąż niestety zbyt aktualnych.

DRAMATYCZNE losy Klonowica-Acerna stały się tematem literackim dopiero w drugiej połowie XIX wieku. Pierwszy zwrócił na nie uwagę Władysław Syrokomla w związku z przekładem na język polski „Roxolanii” (1852). W 4 lata później wydał on gawędę pt. „Zgon Acerna”, w której przedstawił ostatnie chwile lubelskiego poety. Leżąc na wznak słomy w jezuickim szpitalu, zastanawia się umierający poeta nad całą swą satyryczną twórczością i stwierdza z żalem w rozmowie ze swym przyjacielem doktorem Oczką, że zmarnował swe życie.

„Och, gdybym drogę życia przechodził raz drugi, tyłkoby z ludem wiejskim zbrała się najciszej, i jemu wszystkie pieśni, wszystkie oddał myśli”.

W gorące zjawia się Klonowicowi przed oczyma postacie przestępców z „Worka Judaszowego” i „Victorii Leonum”, a szatan sztydzi z niego, że pieśniami swymi nie zdołał wyniszczyć złego. Drwią również z lubelskiego poety sąsiedzi i krewni jego, poddając złośliwej krytyce całe jego życie. Utwór kończy się opisem wspaniałego pogrzebu, jaki wyprawiła Klonowicowi szlachta zebrana na kadencję trybunału¹⁾. Z kart gawędy bije żywe współczucie autora-demokraty dla nieszczęśliwego poety-mieszczanina, który nie znalazł w tym środowisku uznania dla moralnych i artystycznych walorów swoich poematów.

Na rok przed „Zgonem Acerna”, tj. w r. 1855, pojawił się w „Bibliotece Warszawskiej” bezimienny poemat pt. „Sebastian Klonowicz”, którego autorką była powieściopisarka i poetka Seweryna z Zochowskich Pruszkowa. Na początku utworu młody Klonowicz jest obecny przy zgonie Pana Kochanowskiego. Minęło wiele lat od tego momentu. W mroźnym dworcu rozmyśla lubelski poeta nad swoją twórczością, która nie przyniosła mu zaszczytów ani majątku, bo kierował się w życiu prawdą („Herb na mej tarczy — prawda a wiara”). Przy końcu poematu u stóp konającego poety kłęczą jego żona, błagając go o przebaczenie za swe rozpustne życie. Do uszu Klonowicza w izdebce szpitalnej św. Ducha dochodzą krzyki motłochu pałacego na stosie jego książki. Ulgę przynosi umierającemu śpiew flisaków, płynących po Bystrzycy: śpiewają oni strofki z jego „Flisa”. W epilogu nie aprobuje autorka ataków Klonowicza na zło:

„Nie w twoją dłoń gromy, o piewco natchniony
Wszak po te nie sięgał nasz wieszacy Jan,
Spiewakom ku niebu pogodnie ściska tony,
A w grzesznych — pioruny niech ciska Pan”

Epigon romantyzmu, popularny dopiero w okresie pozytywizmu powieściopisarz Jan Zachariasiewicz w swoim opowiadaniu pt. „Dwaj lutniści” (1857) wysunął na pierwszy plan zagadnienie niedobranego małżeństwa poety-idealisty i lekkomyślnego, pragnącego dostatków i zabaw Krystyny²⁾. Podobnie jak Pruszkowa opisał Zachariasiewicz zgon Jana z Czarnolasu i uczynił Acerna spadkobiercą jego lutni. Wprawdzie Kochanowski zalecił mu, by kochał wszystkich ludzi, on jednak na skutek rodzinnych kłopotów odwrócił twarz „od tego, co w jego ojczyźnie piękne było i patrzył tylko na zbrodnie i zdrożności. Chłostał wszystko satyrą, obryzgiwał żółcią, ale czynił to z wielkiej miłości, jaką miał ku ziemi ojczystej”. Przy końcu utworu miłośnicy ludzkie znaleźli na ulicy obdartego, wyglądzonego i schorowanego Klonowicza i zaniesli go do infirmerii jezuitów, by mu „wybrać ciepły kątek do skonania”.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w ciągu trzech po sobie następujących lat, tj. 1855, 1856 i 1857, ukazały

LOSY KLONOWICA jako temat literacki

AUGUST KRYCHOWSKI

się trzy utwory trzech różnych autorów o losach Klonowica, poruszające sprawę nieszczęśliwego małżeństwa poety jako jedną z głównych przyczyn jego deklacji przy końcu życia. Ukazują one także tragizm poety pokłóconego ze społeczeństwem: szlachta oburzona jest na niego za ostrą krytykę, jezuita uważają go za swego potwarce, ich wychowankowie palą na stosie jego książki, a nawet mieszczaństwo lubelskie nie aprobuje jego idealizmu i drwią z jego głębokiego upadku.

Losy Klonowicza spopularyzowane głównie przez Syrokomlę u schyłku romantyzmu, pociągnęły także wyobraźnię dwóch literatów z okresu pozytywizmu: dramaturga i powieściopisarza Wincentego Rapackiego oraz powieściopisarza i badacza przeszłości Lublina Kornela Zielińskiego.

W 4 aktowym dramacie z prologiem Wincentego Rapackiego pt. „Acernus”, wydanym w r. 1879, Klonowicz jest nie tylko „literatem, walczącym piórem o „szczęście połowy nekanej ludzkości”, ale i człowiekiem czynu, gdyż jako burmistrz, wbrew prawdzie historycznej, kieruje obroną Lublina przeciw rokoszom Stadnickiego³⁾.

Bezpośrednią przyczyną jego upadku staje się jego żona Ewa, która podczas snu męża wykrada klucze od bram miejskich i wpuszcza do miasta rokoszan. Posądzony przez mieszczan o zdradę, znieawidzony przez szlachtę i jezuitów, skazany przez starostę lubelskiego na wygnanie z ukochanego miasta, umiera Acernus w noc zimową na ulicy ze słowami: „Ewo! Bądź przeklęta!”. Ewa zaś, porzucając męża dla bogatego kochanka Stadnickiego, tak go charakteryzuje w rozmowie ze swoją ciotką:

Choć nienawidzę, szanować go muszę.
Jest w nim potęga, przed którą drzę cała,
Dobroć bez miary... pobażania skarby.

W szkicu powieściowym Władysława Kornela Zielińskiego „Z życia poety” (1882) Klonowicz ma zawziętych wrogów: jezuitów, mecenasa Wylęgowicza i wójta Mrzygrodę. Z ich namowy Agnieszka, żona poety, zdaje mężowi truciznę, działającą powoli. Po śmierci męża Agnieszka stacza się coraz niżej, popada w obłąd i umiera jako żebraczka na ulicy⁴⁾. Zieliński stara się o wierne oddanie środowiska, w którym żył i działał Klonowicz w latach 1599–1602. W rok później wydał opowiadanie pt. „Flisacy”: życiorys Klonowicza wraz z wyjątkami z dzieł poety, ujęty w formie pogawędki flisaków.

Żona Klonowicza nie była takim „czarnym charakterem”, jak ją przedstawił: Rapacki i Zieliński. Oparali się oni na relacji Szymona Starowolskiego, polihistora XVII w., zawartej w jego dziele pt. „Hecatontas”, że Klonowicz na skutek rozrzućności żony doszedł na starość do skrajnej nędzy i zmarł w szpitalu w r. 1608. Badania J. Detmerskiego, archiwisty lubelskiego⁵⁾ wykazały jednak, że nie żona, ale też-

ciowa była główną przyczyną kłopotów materialnych poety. Z dokumentów ogłoszonych przez Detmerskiego wynika, że Klonowicz zmarł w r. 1602, a nie 1608, jak podawał Starowolski.

W dziele Starowolskiego umieszczone zostały dwa wiersze łacińskie, poświęcone Klonowicowi, a ułożone przez lublinianina Mikołaja Zorawskiego, astrologa królewskiego. Zestawia on Acerna z Owidiuszem Nazonem: Sulmo było miejscem rodzinnym Nazona, a Sulmierzyce Klonowica, losy ich obu były do siebie podobne.

KILKADZIESIĄT lat minęło od ogłoszenia utworów Rapackiego i Zielińskiego, zanim postać Klonowicza znalazła znowu odtwórcę w literaturze pięknej. We fragmencie „Poematu o Lublinie” zamieszczonym w r. 1953 w „Kamieniu” ukazuje Stefan Wojski Klonowica jako piewce ludu wiejskiego i miasta Lublina. Fragment kończy się wzmianką o paleniu na stosie ksiąg Klonowicza.

W pięć lat później ukazała się w druku powieść biograficzna o Klonowicu Lucyny Sieciechowiczowej pt. „Moralista i waganci”. Autorka nie poszła w ślady swych poprzedników, których interesowały głównie ostatnie chwile lubelskiego poety, tylko zajęła się jego pobytom w Zamościu jako kierownika i nauczyciela szkoły, charakteryzując trafnie dwa jego przeżycie pragnienia: chęć zdobycia majątku oraz powołanie do nauczania i wychowania tak młodzieży, jak i całego społeczeństwa. Praca w szkole nie dawała jednak Klonowicowi zadowolenia: młodzież nie chciała się uczyć i zachowywała się niesfornie. Hetman Zamojski nie spełniał swych obietnic, a żona nudziła się w Zamościu i miała do męża pretensję, że ją wywodził w pustkowie. Autorka wykorzystwała cały materiał biograficzny i dała żywy i prawdziwy obraz poety-moralisty, przeciwstawiając go niefrasobliwym wagantom.

Wszyscy autorzy, którzy wzięli za temat swych utworów losy Klonowicza, podkreślali satyryczny i moralizatorski charakter jego utworów, które ściągnęły na niego niechęć, a nawet przesławdowanie, ze strony pewnych grup społecznych. Demokratyzm jego najściszej zaakcentowali: Syrokomla i Rapacki. Ważną rolę odgrywa w wyżej wymienionych utworach żona poety, która prowadzi rozpustne życie, doprowadza męża do ruiny majątkowej, a nawet go truje. W powieści Sieciechowiczowej Agnieszka nie jest jeszcze „czarnym charakterem” i nie zdradza męża, choć nie brak jej zalotności.

Brakuje dotychczas powieści biograficznej, która by obejmowała całość życia Klonowicza, nie posiadamy również monografii literackiej tego wybitnego poety-demokraty XVI w., o którym pisał E. Dembowski, „czterwony kasztelan”, w swoim „Piśmiennictwie polskim w zarysie”. Główne cechy twórczości Klonowicza, uwydatnione zwłaszcza we „Flisie”, mniej już w „Worku Judaszów”, to zwrot do ludu, nienawiść do księży i niechęć do szlachty. Cechy te czynią z Klonowicza centralną postać w literaturze XVI wieku. Zwłaszcza zwrot do ludu sprawia, że poezja jego stanowi epokę”.

1) Dr Oczko umarł przed Klonowicem. 2) Nie posiadamy żadnych relacji o pogrzebie Klonowicza. 3) Żona Klonowicza miała na imię Agnieszka. 4) Klonowicz umarł w 1602 r., nie mógł więc bronić Lublina przeciw rokoszom. 5) W dokumentach ogłoszonych przez Detmerskiego nie ma żadnych danych, by Agnieszka była trucicielką i stała się żebraczką. 6) Józef Detmerski „Nowe szczegóły do życiorysu Klonowicza”, Ateneum 1882, I.

WYJDZ stąd. Idź już, proszę cię, idź — powiedziała.

— Nie muszę — odrzekłem.

Nie musiałem, ale już mogłem. Bo to było już drugi raz. Za pierwszym razem, jak mi tak powiedziała, to wszystko było jeszcze dobrze. Wtedy nie odpowiedziałem nic, tylko poszedłem w ten kąt za szafą, usiadłem na podłodze — mimo że tam był kurz i ja byłem w tym swetrze, który ona mi dwa dni przedtem uprała — i potem tylko śmiałem się, bo ja zacząłem w tym kącie płakać, ale tak na niby. Ona najpierw krzyczała, że zabrudzę ten sweter, ale potem nachyliła się i przytuliła siedzieliśmy tam długo, opowiadając sobie takie różne bajki. Tak jak przedtem, kiedy nie było jeszcze Jakuba i nawet wcześniej, kiedy nie mieszkaliśmy razem i ja przyjeżdżałem do niej raz na miesiąc, bo byłem w innym mieście.

Właściwie nie chciałem tutaj zostać. Ale musiałem. Zresztą po ślubie było mi wszystko jedno, gdzie będziemy. Jak się ktoś pytał, gdzie będziemy mieszkać, to odpowiadaliśmy: „razem” — i to była prawda. Bo niektórzy opowiadają, że miłość nie istnieje, ale myśmy wiedzieli swoje. Bardzo dużo wiedzieliśmy wtedy, po ślubie, i śmieszne, że ta nasza wielka miłość mieściła się w tym małym pokoiku, w którym ledwie zmieściła się szafa, kupa za nasze dwie pensje. Z tej szafy bardzo cieszyliśmy się, pierwszej nocy chcieliśmy w niej spać, ale była zbyt krótka i brakowało powietrza. Ląpić kołysał całym mięsem, słońce nawet w nocy zostawało w naszym pokoju, otwieraliśmy okno, było ślicznie (te śliczne lipcowe noce), ale w szafie trochę brakowało powietrza. Więc leżeliśmy w łóżku, które dożyliśmy od brata i mówiliśmy o tym, że trzeba kupić tapczan i jeszcze inne różne bajki.

Bardzo lubiliśmy kupować. Nie wiem, co nas tak cieszyło, bo chyba nie same te przedmioty, ale raczej to,

KONIEC BAJKI

JANUSZ DANIELAK

że mieliśmy je razem i ja cieszyłem się z radości Katarzyny, a ona z mojej. Dawniej nie wiedziałem, że szafa może być taka zabawna. Albo jeszcze wcześniej, gdy kupiłem elektryczną maszynkę — taką podwójną, w której można było regulować dopływ prądu. Kreciliśmy przełącznikami, to było równie ciekawe chyba, jak kierowanie helikopterem. Ale helikopter był nam niepotrzebny, i tak byliśmy, przez te pierwsze miesiące, gdzieś bardzo wysoko. Maszynkę musielśmy kupić, bo ci ludzie, u których wynajmowaliśmy pokój — to byli zresztą uczciwi ludzie, tak się mówiło — nie zgodzili się, żebyśmy korzystali z kuchni. Mówili, że jest za mała i szczególnie była za mała kiedy już urodził się Jakub. Tak, że wszystko trzeba było robić na tej maszynce i dość szybko zaczęła się psuć. Później bardzo to denerwowało Katarzynę i ja też nie zawsze byłem zadowolony, kiedy musiałem iść do pracy bez ciepłego śniadania.

Ale wszystko zaczęło się od historii z pokrywkami. Garnki stały najczęściej na piecyku, to był taki niski, kaflowy piecyk, jedyne miejsce, gdzie mogły w ogóle stać. Ale wystarczyło tylko ruszyć się trochę, a już spadały pokrywki, szczególnie wtedy, gdy otwierało się szafę. Z początku śmialiśmy się z tego, bo robił się straszny hałas i czasem budził z drzemki naszych gospodarzy, a byliśmy na nich trochę źli za tę kuchnię.

Ale czasem i mnie to przeszkadzało, gdy pracowałem w domu, i w końcu kiedyś powiedziałem Katarzynie, żeby bardziej uważała. Spojrzała na mnie i powiedziała, że będzie się starać. Ale to było bardzo trudne. Więc jak spadała pokrywka, znowu usłowałem uśmiechać się. Ale Katarzyna milczała już i ten mój uśmiech, to było oczywiste, stawał się oszukany i musiałem z niego zrezygnować. Milczeliśmy więc oboje, robiła się jakaś dziura, jakieś miejsce już niczym nie wypełnione. Teraz te dziury robiły się także wtedy, gdy psuła się maszynka. I przy innych okazjach.

Ale zawsze, najpóźniej wieczorem, ktoś z nas, ja albo Katarzyna, mówił: „przecież to nie ma sensu” albo „to śmieszna historia” i kładliśmy się koło siebie, przytuleni, opowiadając sobie takie różne bajki, tak jak wtedy, kiedy nie mieszkaliśmy jeszcze razem.

W styczniu wiedzieliśmy już, że ma się urodzić Urszula. „Będę ją uczył jeździć na nartach” — mówiłem. „Ona musi świetnie jeździć na nartach. I od razu zrobimy tak, żeby była zahartowana, będzie spać przy otwartych oknach, nawet jak już będzie ta druga zima”. — „Ale dlaczego chcesz, żeby to była córka?” — spytała Katarzyna. „Bo wtedy to będzie taka mała Katarzynka”.

Nie było znowu żadnych próżni. A potem w szpitalu, już po wszystkim, Katarzyna powiedziała mi: „Ale zrobiliśmy ci z Jakubem figielka, prawda?” Bo to był Jakub, a nie Urszula. I znowu śmialiśmy się, bo przecież wiedziałem, że Jakub też będzie świetnie jeździł na nartach.

Poprzesuwałem wszystkie meble w pokoju i w końcu udało mi się zmieścić łóżeczko dla Jakuba. Ale wanienkę trzeba już było trzymać w szafie, wysoko, książki z szafy wyniosłem na strych. Zresztą już niepotrzebne, i tak dosyć oboje mieliśmy roboty. Bardzo kochałmiś Jakuba. Opowiadaliśmy mu bajki, chociaż nie chciał ich jeszcze słuchać.

Ale potem znowu zaczęły robić się te dziury, bolesne próżnie, te miejsca niczym nie wypełnione, może tylko jakimś żalem. Było teraz o wiele więcej okazji. Tych małych, codziennych wydarzeń, które strącały nas coraz niżej i niżej. Byliśmy bezradni.

Pierwszy raz stało się to przy kąpiel Jakuba. Nie zauważyłem, że niedaleko stała rozgrzana maszynka. Zawsze stawałem ją pod stół. Ale raz zapomniałem. I wtedy właśnie Jakub oparzył się. Płakał. Płakał tak, że nie umiałem pomóc Katarzynie, kiedy bandażowała mu rączkę. Nie mówiła nic.

Potem, kiedy Jakub już spał, uspokojony, powiedziałem do Katarzyny: — Ty sądzisz, że to ja, Ty myślisz, że to przeze mnie, prawda?

Milczała.

Wtedy zacząłem krzyczeć. Ze to nie jest życie, że mam już tego wszystkiego dosyć.

To właśnie wtedy Katarzyna powiedziała po raz pierwszy:

— Wyjdź stąd, Andrzejku, proszę cię, idź stąd, idź już.

Ale ja wtedy nie mogłem jeszcze wyjść. Myślałam, że to znowu tylko jakieś nieporozumienie, nic, co by decydowało. Poszedłem do tego kąta za szafą, usiadłem na podłodze, chociaż było tam dużo kurzu, i udawałem, że płaczę. Katarzyna też myślała, że wszystko da się jeszcze uratować. Nachyliła się nade mną i potem siedzieliśmy tam długo, przytuleni, opowiadając sobie różne bajki, jak wtedy, kiedy jeszcze nie mieszkaliśmy razem.

— To już ostatni raz taka głupia historia, prawda, Katarzyno, ostatni raz?

Ale teraz musiała powiedzieć już drugi raz:

— Wyjdź stąd. Idź już, proszę cię, idź.

— Nie muszę — odrzekłem. Ale nie wiedziałem, co robić. Wiedziałem tylko, że już nigdy nie będziemy opowiadać sobie bajek.

Olejna 6

JAN SPYCHALSKI

PRZY ul. Olejnej w Lublinie prowadzone są obecnie roboty przy rozbiórce starej kamienicy nr 6, zwanej w aktach z XVII w. „Mincarnią”. Kamienica ta posiada bardzo ciekawą historię, dającą się odczytać z dokumentów archiwalnych. Od roku 1595 do roku 1601 mieściła się w niej mennica królewska.

Dziejami mennicy lubelskiej zajmowali się: Karol Beyer w r. 1857, St. Walewski w r. 1882 i Mieczysław Mora Morzycki. Szczegółowe badania nad dziejami mennicy lubelskiej przeprowadził znany numizmatyk prof. Marian Gumowski, znajdując sporo nowego materiału do dziejów mennicy i kamienicy, w której się ona mieściła, w księgach miejskich radzieckich i wójtońskich m. Lublina począwszy od 1598 r. (wcześniejsze akta zaginęły) i opierając się na tym napisał monografię o mennicy lubelskiej w latach 1595—1601, która wydrukowana w 1960 r. w tomie VIII Roczników Humanistycznych Tow. Naukowego KUL. Praca ta jest kopalnią wiadomości związanych z dziejami mennicy królewskiej w Lublinie, kamienicą przy ul. Olejnej 6 i w ogóle z historią Lublina. Według materiałów archiwalnych i numizmatycznych mennica królewska w Lublinie zaczęła funkcjonować w roku 1595. Jan Firlej z Dąbrowicy, od 1593 r. starosta grodzki lubelski, miał ogólny nadzór nad mennicami koronnymi jako Wielki Podskarbi Koronny w latach 1590—1609. Przy objęciu urzędu podskarbiowskiego zastał on czynne mennice w Olkuszu, Poznaniu i w Malborku. Ambicją jego jako starosty lubelskiego było uruchomienie również mennicy królewskiej w Lublinie. Zorganizowanie tej mennicy zlecił doświadczonemu mincerzowi olkuskiemu Kasprowi Rytkierowi pochodzącemu z Królewca. Wraz z nim przybył do Lublina w 1595 r. inni mincerze olkusecy, zwłaszcza rytkownicy i kierownik mennicy Daniel Koste. Po zorganizowaniu mennicy w Lublinie Kasper Rytkier powrócił do Olkusza na stanowisko kierownika tamtejszej mennicy; podskarbi darzył go wielkim zaufaniem, tak że w 1599 r. został on probierzem generalnym dla wszystkich mennic koronnych i otrzymał polecenie oszacowania i dokładnego opublikowania wszystkich obcych monet kursujących wówczas w Polsce. Z samych monet można wnioskować, że mennica zaczęła funkcjonować w 1595 r. Bila ona trojaki koronne podobne typowo do olkuskich z herbem Firleja Lewart w tarczy lub bez oraz literami J.F. i ze znakami Kaspra Rytkiera z gmerkiem mieszczzańskim Topór w tarczy, czasem literami CR. Niektóre tylko odmiany trojaków wybitych w roku 1595 noszą znak Rytkiera, co świadczy o krótkim jego pobycie w Lublinie. Po Kasprze Rytkierze kierownictwo mennicy lubelskiej objął Daniel Koste, który w latach 1596—1597 równocześnie zarządzał mennicą w Wilnie. Monety wychodzące wtedy z mennicy lubelskiej opatrzone są jego znakiem Lwa przebitego z hakiem, były to trojaki i szostaki. Koste wybijał wg ordynacji menniczej Stefana Batorego po 83 sztuki trojaków z grzywny srebra i po 41 i 1/2 szostaków z takiejże grzywny (trojak ważył 2,38 grama). Trojaki bite były masowo w ogromnych ilościach i dlatego dziś jest ich wiele odmian; 8 odmian szostaków i 56 odmian trojaków koronnych. W 1597 r. Daniel Koste rzadko bywał w Lublinie i pozostał na stałe w Wilnie, gdzie miał lepsze perspektywy. Kierownictwo mennicy lubelskiej objął teraz zastępca Kostego dawny probierz przysięgły Hanusz Eck zwany Heczkiem. Okres czasu jego kierownictwa był

krótki; niepełny rok. Eck bił tylko trojaki opatrzone swoim znakiem — przekreśloną literą Z.

W 1597 r. jesienią objął zarząd mennicy lubelskiej nowy przedsiębiorca, Melchior Reysner z rodziny kupców gdańskich, która w końcu XVI w. prowadziła swoje interesy handlowe na terenie Lublina i Zamościa. Hanusz Eck pracował dalej w mennicy królewskiej w Lublinie jako starszy mincerz. Melchior Reysner już w 1593 r. był właścicielem kamienicy nabytej od Jana Wolborskiego w Zamościu, a później w roku 1597 pojawiają się już trojaki koronne z jego znakiem MR. Gdzie mieściła się dotąd mennica koronna tego nam źródła nie podają. Dopiero Melchior Reysner urządził sobie mennicę we własnej kamienicy przy ulicy Olejnej, zwanej Wiotczyńską, gdyż od Wiotczyńskiego została nabyta. Mieściła się ona między domami Macieja Jeżewicza i Pawła Wojsławskiego. Urządzając w niej mennicę Reysner musiał ją rozszerzyć; dla wyprostowania muru mennicy nabył od Pawła Wojsławskiego część parceli, a izbę drewnianą na cele mennicze postawił mu cieśla Maciej Sklepik. To pochłonęło zasoby finansowe Reysnera, tak że zaczął się zadłużać. W roku 1598 Reysner pożyczł 16 000 złp. od obywatela lubelskiego Jana Balcerowicza, arianina, którą to sumę dał temu do przechowania, a potem zezwolił na jej pożyczanie mennicy lubelskiej Paweł Orzechowski, podkomorzy Chełmski, również arianin. Była to pożyczka krótkoterminowa i miała być spłacona w jesieni 1598 roku. Melchior Reysner pieniądze nie zwrócił w terminie, umknął do Gdańska i ukrył się na Szoltawie, a mennicę zostawił pod opieką dwóch swoich agentów Marcina Koszwica i Joachima Kleycha. Ludzie Orzechowskiego napotkali ich na jarmarku w Lublinie 28.X.1598, a ci oświadczyli, że nie mają pieniędzy ani polecenia do wypłaty i uciekli przed wierzycielem nocą potajemnie z miasta. Podkomorzy wysłał za nim w pogon swoich ludzi, którzy obu schwytali, do urzędu lubelskiego doprowadzili i całą masę różnych weksli dłużników Reysnera skonfiskowali na kwotę przewyższającą sumę należności Orzechowskiego. Na wieść o tym do urzędu radzieckiego w Lublinie i do Orzechowskiego zaczęli się zgłaszać wierzyciele Reysnera i domagali się podziału skonfiskowanych weksli. Podkomorzy Orzechowski dał również przez urząd miejski w Lublinie do zahipotekowania swej wierzytelności na majątku Reysnera, a przede wszystkim na kamienicy przy ulicy Olejnej, gdzie mieściła się mennica królewska. Jan Firlej, obawiając się, by przez te zatargi finansowe mennica nie ucierpiała, wystąpił z urzędu i z jego polecenia zrobiono zastrzeżenia w aktach miejskich 3 grudnia 1598 roku, że „areszta kładzione na domu murowanym Reysnera w Lublinie niczym nie mogą szkodzić mennicy królewskiej, ani narzędziom, ani pieniądzom do niej należącym, ani również personelowi mennicemu”, tym bardziej, że Melchior Reysner jako przedsiębiorca i dzierżawca winien też był do kasy królewskiej czynsz za ostatnie pół roku 1100 złp. Orzechowski wytoczył swą sprawę przed Trybunał Koronny. Tu doprowadzono do ugody z dnia 24 maja 1599 roku między podkomorzym a Reysnerem, który wreszcie zjechał do Lublina, wypłacił Orzechowskiemu 3000 złp a conto, a resztę 13 000 złp obiecał spłacić ratami. Sumę tę zagwarantował on całym swym majątkiem lubelskim. Innych długów Reysnera Trybunał nie rozpatrywał. Gwarancje Reysnera dane Orzechowskiemu przybrały formę zastawu nie tylko kamienicy, ale i samej mennicy królewskiej, które podkomorzy objął we własne ręce, a mennicę wydzierżawił Reysnerowi za umówioną sumę czynszową za czas od 5 sierpnia do 25 listopada 1599 roku. Za ten okres czasu otrzymał on czynsz dzierżawny, mógł więc oficynie menniczą na własny użytek obrócić. Melchior Reysner zmarł 12 października 1599 roku, pozostawił rzeczy codziennego użytku, szuby, ubranie, bieliznę, pościel oraz skrzynię z weksłami swoich dłużników. Urzędował on od jesieni 1597 r. do 12 października 1599 roku. Za jego zarządu mennica lubelska produkowała grosze i trojaki ze znakiem MR w latach 1597—1598. W 1598 roku w miejsce znaku nieobecnego mincerza wprowadzono literę L miasta Lublina na stempel trojaków tu wybijanych. Zwyczaj ten przyjął się i w innych miastach mennicznych,

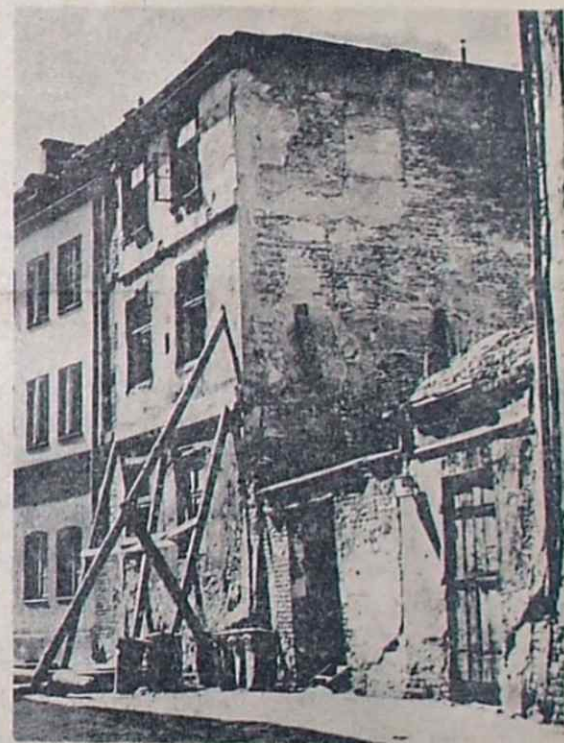
a urząd podskarbiego Firleja zatwierdził pierwszą tę innowację w czasach Reysnera wprowadzoną. Grosze nie były dotąd w Lublinie wybijane i dlatego ich emisja była nowym świadczeniem inicjatywy tego mincerza. Reysner wprowadził również reformę stopy menniczej trojaków. W marcu 1598 roku na sejmie warszawskim uskarżał się przed podskarbisem koronnym Janem Firlejem, że z powodu podróżeń srebra nie może wybijać trojaków po 83 sztuki z grzywny, inni mincerze poparli go, a podskarbi zezwolił na pewną ulgę dla mincerzy — na bicie trojaków po 84 sztuki z grzywny brutto, a nie po 83 jak dotąd. Była to ulga bardzo mała — mimo to mincerze byli z niej zadowoleni.

Mennica lubelska za czasów kierownictwa Melchiora Reysnera przeżywała swój okres największej świetności i czas najintensywniejszej pracy. Nie tylko zostawiła ona dużą ilość odmian groszy i trojaków, ale i największą ilość zapisków w księgach miejskich lubelskich.

Obok M. Reysnera pracowali w mennicy lubelskiej Hanusz Eck, Henryk Laufferts probierz, Joachim Scholtz i Maciej Schröder jako towarzysze sztuki menniczej oraz wielu innych. W czasie nieobecności Reysnera zastępował go Hanusz Eck. W okresie zarządu Reysnera bito w Lublinie trojaki koronne masowo; mają one pełno odmiann, za to grosze były bite w bardzo małych ilościach, odmian mają niewiele i dziś należą do rzadkości.

Po śmierci Melchiora Reysnera do rąk Pawła Orzechowskiego przeszły bezspornie kamienice przy ulicy Olejnej, jak i cała mennica, której został kierownikiem. Paweł Orzechowski mennicę finansował i ciągle narzekał na brak odpowiednich dochodów, chociaż, jak Żydzi twierdzili, uzyskiwał z mennicy rocznie do 6000 złp. Sprawował on nadzór ogólny nad mennicą, ale w sprawach ściśle technicznych musiał polegać na mincerzach odziedziczonych po Reysnerze, do których większego zaufania widocznie nie miał. Paweł Orzechowski administrował mennicą lubelską od 12.X.1599 do marca 1601 roku, tj. do zamknięcia mennicy lubelskiej na mocy uchwały sejmowej. W tym okresie mennica produkowała same tylko trojaki znakowane literą L — Lublin, ani herbu Orzechowskiego, ani znaków innych mincerzy tu nie znajdujemy. Orzechowski naraził się na proces z Zy-

(Dokończenie na str. 8)



POETYCKIE MALARSTWO

(Dokończenie ze str. 4)

pieczołowitością, wykazującą duże umiejętności techniczne.

Makarewicz jest malarzem zdecydowanie figuratywnym. Nie pozostawiają tu najmniejszych wątpliwości takie prace, jak „Sieć”, „Obrona domu” czy też „Postacie dramatu”. Lecz nawet w tych pracach, w których artysta skłania się zdecydowanie ku abstrakcji, odnaleźć można aluzję przedmiotową, sprowadzone często do symbolu czy znaku.

Umiejętność malowania i wspomnianą już precyzję wykonania ilustrują takie prace, jak np. „Przygotowanie do uczy”. Artysta z dużą swobodą posługuje się różnymi technikami. Większość wystawionych prac wykonana jest techniką mieszaną. Często wśród temper czy olei szokują plamy kredki lub lakieru. Niekiedy precyzją koloru i techniki artysta przypomina dzieła dawnych mistrzów. Za przykład może tu posłużyć jedna z najbardziej interesujących prac pt. „Kolacja kruków”. W niektórych pracach wydatnie się wyraża skłonność do nadrealizmu, najłatwiejsze do odczytania w „Martwych naturach” czy „Wizycie”. Symboliczne treści narzuca, może przez literackość tytułu, praca abstrakcyjna „Znaki na ziemi”. Obraz „Pan” kolorem i układem kompozycyjnym przypominać może bajkową chagall'owską wizję świata.

Duża wrażliwość, wyobraźnia i liryczność prac Makarewicza uwidacznia się w samej jego tematyce. Często powtarzający się motyw ptaków i księżycy nasuwa poetycko-literackie skojarzenia. Obrazy „Księżyc w listopadzie”, „Księżyc w lutym” czy też „Księżyc w wodzie” zdają się być poezją barwy i kształtu. Patrząc na te obrazy chce się czasami zacytować K. I. Gałczyńskiego.

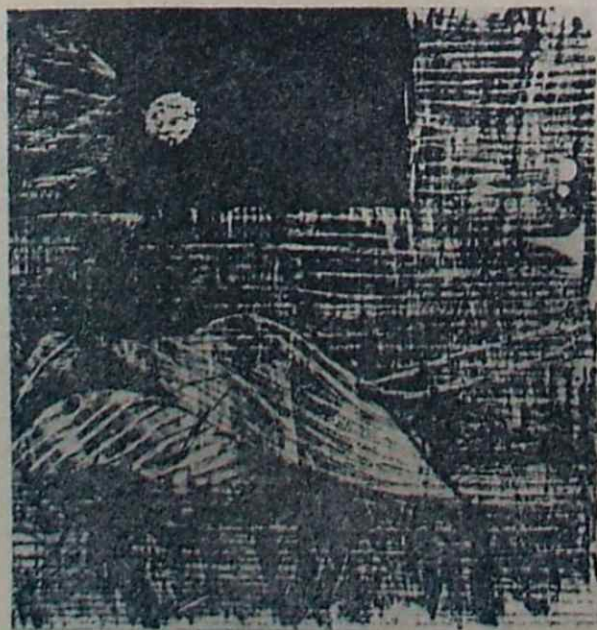
Gdy się ogląda „Ptaki czekają” lub „Ptak ucieknie zaraz” przychodzi na myśl wiersz:

O szalone słowiki
i śpiewające broszki,
które w tkaninę nocy
księżyc wopina, odpina...

Ściśle mówiąc — nie lubię porównania malarstwa z literaturą, w tym jednak wypadku liryka Makarewicza, duża pomysłowość plastyczna, skłonność do satyry i groteski („Obrona domu”) same przez się nasuwają literackie skojarzenia z cytowanym wyżej poematem.

Rozważania te nasunęły mi pytanie, które pozostawia jednak do rozstrzygnięcia czytelnikom: Czy Makarewicz jest bardzo poetycznym malarzem, czy też może Gałczyński bardzo malarskim poetą?

Janina Stasiakówna



MACIEJ MAKAREWICZ
PTAK UCIEKNIĘ ZARAZ
TECHNIKA MIESZANA

Z WIERSZY
RABCZANSKICH

Grzebień

Pod okrawkiem Grzebienia
drzemie samotny gazda
— dziki świerk.
Wiosną — napeczniał, zieleniał
— trzask.
Lepkości wykipiwały z pazurów
na podgórze,
na płask.
Kapie z nich rankami
siność
po włosach, po korzeniach,
— po pas,
czesze wieczorami
pod włos
grzebięniasty wiatr.

Na Luboniu

Wyszła nocą, o, jak późno i gorzko
na Luboniu szukać ziela,
ziela na Luboniu
choć troszkę.
Siwa głowa kiwała się na boki
na trawę, nad mchami,
a na stoku
szelęsiły nietoperze
pod glazami.
Glazy —
oczy miała zaplakane
niewidzące,
tylko ziela na Luboniu pachniało
macierzanką macierzystą
drobne listki
gałąź
na zakłęca od choroby, od uroku
od zawiści.
Na Luboniu nocą chłodną, kwietniową
kwiatek siwy
ślepych dłoniom —
życzliwy.

Kumoszka

Maciejowa
nade drogą wygięta
w lesie opryskliwym, mlaskającym
bezębnymi krzewinami
— na piętach.
Maciejowa poci się, bo lysa,
gdy nad nią dzień jak słonecznik
zwiśa.
Jednym okiem lyska ku Słońcu,
chuda trawa pasie owce trzy,
w garści zwijsa
różnecowe, potoczyste przedziwo mgły
a mamrocze, mamrocze
i gada,
cała w szeptach mszystych się
[rozsiada
cała w przymrużeniach oczu,
cała nachylona
ku plotkom
— A ten tam, a ta tu, a to oni... —
Nawet oblok dla niej coś uronił:
— że nad strugą, że u zbrocza w lesie
on i ona...
no, już wie się! —

ADAM GALIS

Imiona

Pamięci Kazimierza Hildta, Filipiny
Płaskowickiej, Stanisława Mendel-
sona, Ludwika Waryńskiego.

Wasze imiona kto pamięta?
Wasze wyzwanie nędzy świata?
Czasem wyduka je od święta
mówca w cytacie z referatu.
Ja o was myślę znów. Wpatrzony
w oblicza Wasze — karty książek.
I nasze dziś i wiek miniony
wstęgami wspólnych marzeń wiążę.
Serce rozgrzewa się zaczyna
od dźwięku imion swojskich, prostych:
Ludwik, Kazimierz, Filipina,
co korzeniami w Polskę wrosły.
Wzywam was, drodzy: do mnie,
[do mnie!
Nauczyciele prawi, czyści,
choć bez pomników — lecz ogromni,
o, pierwsi polscy socjaliści!
Bo chcę wam wyznać w dniu
[spowiedzi
rozterkę i cierpienie wnuka,
I waszej twardej odpowiedzi,
na wizerunki patrząc, szukam.
Miłości prawdy niepodzielnej,
hartownej w tyglu nienawiści
do zła — nas uczcie, nieśmiertelni —
umarli polscy socjaliści.

JESZCZE przed rokiem zupełnie
niezobowiązująco mówiło się
o włączeniu szkoły w społeczną
działalność kulturalno-oświatową na
wsi. Brano pod uwagę w naszym wo-
jewództwie jedynie powiat lubartowski
jako eksperymentalny. Dzisiaj, jeśli
się chce mówić o roku doświadczeń,
trzeba już brać pod uwagę trzy powia-
ty: lubartowski, lukowski i chełmski.
Pierwsze dwa oparły swą działalność
na poważnej dotacji Ministerstwa
Kultury i Sztuki oraz Wojewódzkiego
Wydziału Kultury. Powiat chełmski
przystąpił do działalności bez dotowa-
nych pieniędzy. Z tego powodu wydaje
mi się, że jest najciekawszy, jednak
nie przez swą inność, ale że postawił
na inną kartę. Dwa poprzednie (zresztą
i pozostałe eksperymentujące w kraju
powiaty) pracują w oparciu o tezę, że
w działalności kulturalno-społecznej
na wsi jest niezbędna dobrze urządo-
wana świetlica. W powiecie chełmskim
argument ten okazał się mało istotny.
Po prostu nie było za co wyposażyć
szkół w telewizory i inne zdobycze no-
woczesnej techniki. Postawiono więc
na bardziej tradycyjny środek tj. na
ludzi; a że najświetlejszymi na wsi
ludźmi są nauczyciele, więc na nauczy-
cieli, a że najbardziej rozpowszechnio-
nymi i najlepiej utrzymanymi placów-
kami są szkoły, więc na szkoły. Jednak
myłliby się każdy, kto by szukał w po-
wiecie chełmskim (poza uniwersytetami
powszechnymi) nie spotykanych tu
przed rokiem rewelacji. Po prostu za-
mierzenia Powiatowej Komisji Koor-
dynacyjnej (bo to ona wzięła wszystko
w swoje ręce) zostały oparte na istnie-
jącej już bazie ożywionego ruchu spo-
łecznej działalności kulturalno-oświa-
towej. Oto jakie informacje podaje
sprawozdanie Powiatowego Wydziału
Kultury za rok 1960: „W roku 1960
mieliśmy 150 zespołów artystycznych,
w tym 5 chóralnych, 14 muzycznych,
5 tanecznych, 1 estradowy, 80 teatral-
nych”.

„Oprócz zespołów artystycznych na
terenie powiatu istniało 177 zespołów
oświatowych, w tym: 70 zespołów
przysposobienia rolniczego, 50 kursów
ogólnokształcących (z zakresu szkoły
podstawowej, względnie kursy języków
obcych) 6 zespołów czytelniczych, 23
kursy kroju i szycia, 10 szkół przyspo-
sobienia rolniczego, 18 uniwersytetów
powszechnych. Zespoły oświatowe są
pod opieką Wydziału Kultury, Inspektora-
tu Oświaty, Towarzystwa Wiedzy
Powszechnej oraz Kółek Rolniczych
wraz z Kółkami Gospodyń Wiejskich”.

Po tej informacji następuje krótkie
wyjaśnienie: „Ponieważ zespołów jest
więcej niż świetlic, zajęcia tych zes-
połów odbywają się w szkołach,
zwłaszcza, że przeważnie zespoły pro-
wadzone są przez nauczycieli”.

W opisaną powyżej sytuacji nie
istnieje problem tzw. „eksperymentu”.
(Tak, nie zgadzam się na „eksperyment
chełmski”). Istnieje natomiast poważny
problem utrzymania aktualnego stanu
i dalszej aktywizacji powiatu. Tu nieco
wyjaśnię. Od początku nie jestem
zbyt przekonany do terminu „ekspe-
ryment”. Sugeruje on bowiem proces
krótkotrwały, trochę pachnący króli-
kami doświadczenia. Nie wiem, czy
w ostatecznym rachunku „ekspe-
ryment” może zapewnić oczekiwane wy-
niki. Wiadomo, że krótkotrwałość od-
działania daje w tym względzie zni-
kome rezultaty. Dlatego niezbędne jest
stawianie na o wiele dalsze perspekty-
wy. Obym nie zauroczył, w Chełmie
właśnie wskazuje wszystko na to, że
ożywienie kulturalno-społecznej dzia-
łalności na wsi ma najrealniejsze
perspektywy długotrwałego rozwoju.
Oparcie się o własne siły jest niewąt-
pliwie środkiem najpewniejszym. W po-
wiecie chełmskim widzę dwa źródła
społecznej energii. Pierwsze z nich, to
wrozumiałość i poparcie finansowe
miejscowych władz dla potrzeb oświaty
i kultury w powiecie (czego nie można
powiedzieć o powiecie lubartowskim).
Drugie źródło, to uaktywniające się
zasoby energii społecznej zarówno
środowiska miasta powiatowego, jak
i środowisk wiejskich.

Dzięki pomocy władz powiatowych
i zakładów pracy udało się zdobyć
środki finansowe na uruchomienie
w sezonie jesienno-zimowym 16 nowych
uniwersytetów powszechnych. (przed
rokiem było ich tylko cztery). Nie są
to jeszcze bardzo silne placówki, ale
skupiały na wykładach po kilkudziesię-
ciu słuchaczy. W 150 miejscowościach
powstały odczytowe punkty
obsługiwane przez około setkę ludzi
i to najczęściej z wyższym wykształ-
ceniem. Działalność ta, jak wskazują
uprzednio przytoczone fragmenty sprawo-
zдания, wiąże się z ruchem oddolnym
i odpowiada żywotnym potrzebom
i zainteresowaniom wsi. Jak wiadomo,
w życiu codziennym potrzeby wsi
kształtuje wiejski działacz społeczny —
nauczyciel.

Taka sobie bajeczka

JERZY KSIĘSKI

— Tato, opowiedz mi taką sobie bajeczkę.
— Sobie?
— No, nie sobie. Nam...
— Więc słuchaj. Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami...
— Tato?
— ...
— Ile to jest siedem gór?
— Dużo.
— A siedem rzek?
— Też dużo.
— A gdzie są te wszystkie góry i te wszystkie rzeki?
— W Polsce.
— Wszystkie?
— No tak, wszystkie siedem.
— Tato? jak się te wszystkie góry nazywają?
— Góry, góry... No na przykład Karpaty, Tatry, Rysy...
— Albo Rysie.
— Nie, rysie to zwierzęta z twojej książeczki.
— A zwierzęta nie mogą być górami?
— Nie mogą.
— A jakby były?... A te rzeki, za siedmioma — jakie są?
— Szumiące i niebieskookie.
— Czemu mówisz „niebieskookie”
— Bo ładne, tańcie ładne jak by miały niebieskie oczy.
— Jak Mamusia.
— Tak, jak mamusia.
— A które są te rzeki?
— No, Wisła, Warta, Odra, Narew, Noteć, Tanew — na przykład te
— Powiedziałeś Tato za mało. To nie wszystkie.
— A skąd wiesz, przecież nie umiesz liczyć?
— To nic, ale powiedziałeś za mało. Bo nie było kropki.
— A co to kropka?
— Kropka? Koniec.
— To jeszcze ci powiem. Rzeka Pilica, rzeka Wieprz...
— Czemu?
— Co czemu?
— Wieprz.
— Tak się nazywa rzeka.
— A nie przezwisko?
— Nie.
— Aha.
— Dostyc rzek?
— Mało, jeszcze nie było jednej.
— Jakiej?
— Bystrzyca.
— Ale byłoby za dużo rzek. Powinno być siedem.
— A nie może być jeszcze jednej?
— Może.
— To opowiedz mi teraz wszystko od początku...
— Za siedmioma górami za ośmioma rzekami...
— Tato? nie możesz lepiej?
— Nie wiem. A jak chciałbyś?
— Chciałbym tak. Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami i za
Bystrzycą. Bo przecież wszystko musi się zgadzać.

S T A W I A M
NA POWIAT CHEŁMSKI

JÓZEF ZIĘBA

Powiat chełmski ma właśnie to do
siebie, że nauczycieli tu pracujących
stosunkowo łatwo pobudzić do dzia-
łalności społecznej i oświatowej. (Nie-
którzy przypisują to chełmskiemu
Liceum Pedagogicznemu). Przy porów-
naniu z nauczycielstwem z innych po-
wiatów odnoszę wrażenie, że przeważa
tu typ bardziej intelektualnie i spo-
łecznie otwarty. W Świerżach kierow-
nik szkoły wprawdzie uskarżał się
przede mną na małą aktywność spo-
łeczna młodych nauczycieli, ale już
w Busównie kierowniczka szkoły pani
Zofia Dudkova mówiąc na ten temat
musiała wyliczyć wszystkie swoje
młodsze koleżanki i kolegę. Na nie-
pośredniej miary działacza społecznego
w swoim środowisku natknąłem się w
Strupinie Dużym. Jest nim doświad-
czony, posiadający około 30 lat prak-
tyki zawodowej i społecznej kierownik
szkoły, Józef Sokołowski. Kiedy pyta-
łem go o poczynania szkoły i różnych
organizacji społecznych działających
we wsi, nie potrafił tych dwu elemen-
tów od siebie odróżnić. Nowo wybu-
dowana szkoła Tysiąclecia jest własnością
i chlubą całej wsi. Tu też powstają
i krzyżują się wszystkie wiejskie plany.

Wieś ledwie zakończyła budowę
szkoły, już nakreśla nowe plany dzia-
łania. Według tych planów w bieżącym
roku połączy szkołę z odległą o około
pół kilometra szosą nowy chodnik, na
ulicy mają zabłysnąć elektryczne ża-
rówki. Rok przyszły, to budowa odcin-
ka szosy (znów od szkoły!). Następnie
rozpocznie się budowę zlewni mleka
i garaży na traktory kółka rolnicze.
Nie zapomniano też w planach społecz-
nej działalności wsi i o nowej świetlicy
z czytelnią dla biblioteki gromadzkiej.
Jak już wspominałem, wszystkie te
inicjatywy nie mogą przejść obok

szkoły. Tu odbywają się wszystkie ze-
brania organizacji wiejskich, jak i pró-
by zespołów artystycznych, tu też zbie-
rają się ludzie na wykłady uniwersy-
tetu powszechnego.

Właściwie prawie każda szkoła w po-
wiecie ma podobne szanse działalności
społecznej i kulturalno-oświatowej w
swoim środowisku.

Wiele szkół, jak świadczą przyto-
czone w sprawozdaniu cyfry przystą-
piło już do tej działalności. Zadaniem
władz i działaczy powiatowych jest
jeszcze bardziej uaktywnić i rozsze-
rzyć te usiłowania.

W Chełmie i powiecie wiadomo, że
szczególnie zajmuje się tym sekretarz
propagandy KP PZPR, zarazem prze-
wodniczący Powiatowej Komisji Koo-
rdynacyjnej Tadeusz Dadosz. Dzięki
jego inicjatywie udało się uruchomić
na społeczną działalność kulturalno-
oświatową powiatowe rezerwy i fun-
dusze miejscowych zakładów pracy.
Niepośredni udział w tej działalności
ma tu i Powiatowy Wydział Kultury.
Również i Towarzystwo Wiedzy Pow-
szechnej w Chełmie dzięki inicjatywie
sędziego Juliana Ziemińskiego bardzo
szybko odrodziło swoją działalność,
tworząc szeroką sieć uniwersytetów
powszechnych i punktów odczytowych.
(Zasługą jego jest, jak już wspomnia-
łem, skupienie wokół tej działalności
około setki ludzi).

PRZYTACZAJĄC tu kilka faktów
i wspominając o górci działa-
czy nie miałem wcale ambicji
mówienia o wszystkim i o wszystkich.
Chciałem jedynie wskazać na niektóre,
moim zdaniem, najciekawsze zjawiska.
Wiem, że społeczna działalność kulturalno-
oświatowa w powiecie chełm-

(Dokończenie na str. 10)

O wietrze w trybie
przypuszczającym

Wiatr
ma ukośne, długie ręce,
chwytliwe dłonie małpy.
Wpadł
z rozpędu na ciebie.
Zatrzepotał w sukience.
Głaszce stopy. Tak głaśkałby
przez całe życie
zależnie od wyżów i niżów,
opinałby biodra i smukłe uda,
chwytalby wół i wyżej —
płomiennogłowy cudak —
wiatr.

WŁODZIMIERZ SOSIURA

Przełożył

JERZY PLEŚNIAROWICZ

* *

Leciutko drży listowie klonu,
kwiat na kasztanach się dopała.
O ciszo chwili tej zielona,
szepcie pociągów senny z dala!

Ciemnoblękitne nieba morze
nad tobą szumi, mroczny gaju.
Okręty purpurowe zorzy
na zachód w zlocie odpływają.

Do marzeń są podobne teraz,
horyzont wita je szeroki,
a wiatr, jak w żagle, dmie w obłoki,
które nad nimi rozpościera.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

Emigrant

Kiedy wraca o zmroku
pustką wita go pokój —
cztery ściany rozpacz
nie więcej.
Ale — zęby zacisnął
i przeżegnał się Wisłą,
i w los twardej
po łokcie wbił ręce.
Obcy świat,
obecne cienie,
inne brzmienie
imienia,
inne serce, i niebo, i oczy.
Z nagle przychodzi ciemny kres,
ciemna przychodzi obca śmierć —
inne serce, i niebo, i oczy.
Inny piach przysypuje życie,
inny wiatr się opiera o krzyż.
A imię na krzyżu zawsze?
z rodzinnych przywiane pół —
ale któż tu odezwał
ten dziwny snop żyta —
zamiast imion jest dziś tylko ból.

(Dokończenie ze str. 6)

dem lubelskim Salomonem Fixel z podgrodzia lubelskiego, który był dostawcą srebra do mennicy lubelskiej za Melchiora Reysnera i rościł pretensje do 6457 złp. Ponieważ pretensje jego dotyczyły się Reysnera, a nie Orzechowskiego, sąd odrzucił je. Mennica lubelska zamknięta została w połowie 1601 r. Autor broszury politycznej wydrukowanej około 1603 roku podnosił potrzebę ponownego otwarcia mennicy koronnych w tych samych co dawniej miastach i między innymi również w Lublinie. Autor broszury politycznej z 1611 roku wspomina o mennicach „w Lublinie, Urzędowie, Bydgoszczy, w Poznaniu, Wschowie i indziej, do których się Żydowie przymieszali, zakładając niedostateczne mennicorze, a pożytki wielkie biorąc”. Ciekawa jest ta wzmianka o mennicy w Urzędowie, do której dotychczas nie znaleziono żadnych materiałów zarówno rzeczowych, jak i archiwalnych.

24 maja 1603 roku Paweł Orzechowski sprzedał kamienicę przy ul. Olejnej, gdzie dotychczas mieściła się królewska mennica, za 4000 złp. Gasparowi Jeruzel Brzezińskiemu. Mimo że w kamienicy tej już monet nie biło, zwano ją dalej „mincarnią”, a ulicę Olejną, przy której stała, zwano Mincarską. Nowy właściciel był arianinem, a nie mając potomstwa, któremu by mógł zostawić majątek, posłuchał starszych tej sekty i za ich namową oddał kamienicę przy ulicy Mincarskiej, ową dawną „mincarnię”, na zbór ariański swoim współwyznawcom do użytku. Ponieważ zaś w tych czasach nie wolno było legować żadnej sekcji jakiegokolwiek nie-

RAZEM, MŁODZI
PRZYJACIELE

(Dokończenie ze str. 3)

miesiącami, autor antologii poezji podziemnej, pełen energii i pomysłowości, jedyny z obecnych na tym spotkaniu, który najczynniej oddaje się swoim zainteresowaniom literackim.

A oto dwaj młodzi — poeta, który dziś pracuje w wydawnictwie Polskiej Izby Handlu Zagranicznego, a który w trzydziestych latach wydał dwa zbiorki poetyckie i o którym Kazimierz Czachowski pisał w „Najnowszej polskiej twórczości literackiej”: „zapowiadający wybitny talent, na razie krążący jeszcze manowcami, ale już zmierzający do opanowania swej spontaniczności. Bogata treść duchowa zyskałaby na pogłębieniu przez ćwiczenie w „szkole” Iwaszkiewicza, do której się skłania charakterem upodobań formalnych, aczkolwiek uczuciowo lepiej mu zapewne odpowiada klimat poezji Wierzyńskiego”. Powojenne wiersze, które mi pokazał a których nie ujawnił jeszcze w druku, świadczą o tym, że jest w pełni sił twórczych, choć znalazł sobie nowego niebezpiecznego mistrza — Gałczyńskiego. Obecnie opracowuje antologię poetów chełmskich (tak! ponad dziesięć nazwisk i to bynajmniej nie grafomanów). A tymczasem jego jedynak zaczyna wstępować w ślady ojca, i jak przezważnie młodzi, hołduje abstrakcjonizmowi.

Drugi, rówieśnik jego, który jednocześnie z nim zdobył maturę, to znany plastyk warszawski (wystawiał m. in. i w Lublinie). Niedawno wrócił z Paryża i Genewy, syt wrażeń i nowych doświadczeń, które, jak twierdzi, mogą całkowicie zmienić jego dotychczasowy stosunek do malarstwa. Byliśmy w jego atelier, i choć nie rozumiem sztuki abstrakcyjnej, kilka jego płócien zainteresowało mnie bardzo. W całej pełni oddany plastyce, cygan „bez posady”, choć bez cygańskiego niedostatku, interesuje się również literaturą.

A oto nieco młodszy od nich latami i zdobyta maturą. Ex-poeta, który zamieszczał wiersze w przedwojennej „Kamieniu” i czasopiśmie szkolnych, „krytyk” młodzieżowej grupy chełmskiej „Przymaty”, dziś dziennikarz po studiach ekonomicznych, pracujący nad monografią życia kulturalnego w przedwojennym Chełmie, sprawił mi przyjemną niespodziankę swoim wyglądem: w tym nobliwym, zdrowo wyglądającym czterdziestokilkuletnim panu trudno było poznać zagrożonego gruźlicą abnegata w szkole. Wiele przeszedł w czasie wojny, z żoną zawarł znajomość w więzieniu mokotowskim, flirtując z nią za pomocą wystukiwania w ścianę. Dowcipny, czasem kostyczny, najwięcej w naszym spotkaniu unosił humoru.

A łodzianin — jeden z bardzo nielicznych aktywistów Koła Literackiego, który nie zerwał z pracą w szkole, autor wierszy drukowanych w chełmskiej i lubelskiej „Kamieniu” i warszawskiej „Orce”, do dziś parający się piórem i piszący świeże i niebanalne utwory poetyckie, a obecnie próbujący sił w powieści. I satyryk, ostatni mohikanin na posterunku chełmskim, którego skecze wystawiał warszawski

teatr Buffo, entuzjasta poezji, cytujący liczne moje wiersze, których sam nie umiem na pamięć.

I znowu jeden ze starszej generacji, rówieśny pierwszemu, o których tu wspominałem, jak i ongiś małowówny, skromny i delikatny — dawny bardzo ruchliwy członek Koła Literackiego, dziś pracujący w Państwowych Zakładach Wydawnictwa Szkolnych. Więc choć sam teraz nie pisze, ale bierze udział w pracy aparatu rozpowszechniającego książki w obrzecznych nakładach. W r. 1935 w „Autorysach”, jednodzielnicy wydanej z okazji 10-lecia Koła Literackiego, pisał: „Mało dobra, zbyt mało na świecie. Jak byłoby wspaniale, gdyby ludzie byli dobrzy. Wychowywać, zmieniać więc „od podstaw” jak kiedyś mówili. Do pracy! Skupić się w sobie i pracować cicho, wytrwale. Świat musi się zmienić”. I tę zasadę realizuje autor tych słów na swym odcinku pracy.

A na końcu o ostatnim, z którym spotkanie było wzruszające, bo „chłopiec” przy powitaniu miał łzy w oczach. O wychowaniu i stypendyście naszej szkoły, który — naprawdę wówczas chłopiec — uciekł z rodzinnej wioski hrubieszowskiej i na piechotę przywędrował do Chełma, aby móc się uczyć. On jeden do dziś pełni naprawdę, mówiąc górnolotnie, misję, do której powołała go natura, tkwiąc na wsi w szczecińskim. Kierownik szkoły podstawowej (i ojciec czterech budrysów), omnibus do wszystkiego, działacz społeczny, zbyt naiwnie dający się nieraz wykorzystywać przez czynniki gminne, zwałające na jego barki różne funkcje nic wspólnego nie mające z zawodem nauczycielskim. Dość powiedzieć, że w tak zwanym okresie minionym musiał nawet doglądać krów spółdzielczych... Toteż dziennikarz ostrzył sobie na nim język, nazywając go „obywatелем soltysem”, a i inni koledzy dobrodusznie i po przyjacielsku podżartowywali sobie z niego. A mimo tego to przyśłowione „pochyłe drzewo” w dalszym ciągu, jak za lat szkolnych, pisze wiersze i myśli o zrobieniu magisterium. Do albumu wpisał mi utwór napisany pod wrażeniem naszego spotkania, w którym tak określa siebie: „Nie wiem / czy jestem dębem / czy modrzewiem / sosną czy wiązem / wyrosłem kolczastym pędem / i uwiązłem / w mowie / w słowach / obrostem gałązkami / i listowiem / zadymilem gryzącym wierszem”.

Tacy są ci moi uczniowie, koledzy, przyjaciele. Prawie wszyscy zdobyli wyższe wykształcenie. Wyszedszy z warstwy chłopskiej lub robotniczej osiągnęli awans społeczny uczciwą pracą i pasją. I wszyscy okazali mi tyle serca i takie żenujące słowa wpiśali mi do albumu, że choć wiem, iż są szczerze, wydają mi się egzaltowane i nie zasłużone. Nikt z nich nie obrósł

WIELKA
PARADA

PRZEZ jakis czas rubryka nasza świeciła nieobecnością, trochę z powodów techniczno-organizacyjnych, a trochę z winy niezbyt frapującego repertuaru, w którym nie wiele było pozycji zmuszających kinomaną mimo wszystko do chwycenia za pióro. Sytuacja uległa radykalnej zmianie w maju, gdy odbyła się w Lublinie istna wielka parada znakomitych, a przynajmniej głośniejszych filmów, których niepodobna nie zanalizować naszym czytelnikom. Na czoło z różnych względów wysunęliśmy

„MEIN KAMPF”

wielkie dzieło dokumentalne niemiecko-szwedzkiego reżysera, Leisera. Film jest przykładem dobrej roboty dokumentalnej, ale przede wszystkim jest świadectwem czasów i spraw, dla których w słowniku ludzkim nie ma właściwie określenia. Leiser, operując prawie wyłącznie materiałem z archiwów filmowych Trzeciej Rzeszy, odtwarza historię hitlerizmu ze spokojem i obiektywizmem, dzięki którym tym mocniej przemawiają same fakty. Film ukazuje Hitlera od samych jego nieświeżych początków jako małego, podłego człowieka, który z podłości własnej i innych wykuwa stopnie swej zawrotnej i niszczytelnej kariery. Leiser ukazuje jak Hitler doszedł do władzy i stara się wyjaśnić, dlaczego to było możliwe ale jedno mimo wszystko pozostaje nieopięte: fascynacja, jaką ten człowiek, nie mający w sobie nic atrakcyjnego, brzydki, głupi, trywialny, wrzaskliwy kabotyn (bo takim jawi się w świetle oficjalnych dokumentów własnego obozu), wywierał na masy. I to jest może właśnie najbardziej przerażające, możliwość urzeczenia ziem bez żadnej osłony, jawną moralną brzydota i głupota, tym wszystkim, co odwołuje się do najgorszych instynktów istoty zwanej człowiekiem. Zachowanie się i postępowanie Hitlera świadczy o jego głębokiej pogardzie dla ludzi i zgroza bierze na myśl, że ta pogarda w wielu wypadkach znajdowała uzasadnienie. Film Leisera,

powszedniością, wszyscy zdążyli „nad poziomem”, i wciąż są jeszcze pełni sił, twórczy i młodzi.

Starszy od najstarszego z nich o dziesiątkę, wzniosłem toast za młodość i jak echo odpowiedziały mi cytowane tu już słowa wpisane do albumu: „Młodość przychodzi z wiekiem”, za którymi nastąpiło ich uzasadnienie: „Z każdym nowym rokiem bardziej kocham życie we wszystkich jego barwnych i wielostronnych przejawach”.

X. Rovay

Olejna 6

ruchomości i urzędy katolickie podobnego wpisu do akt by nie przyjęły, Brzeziński zeznał przed urzędem, że kamienicę tę za kilka tysięcy złotych polskich sprzedał Lubienieckiemu, jednemu z wybitniejszych arian w Lublinie. W rzeczywistości była to darowizna, za którą mu nie zapłacono, a tylko obiecano, że Brzezińskiego arianie nigdy nie opuszczą i dożywiecie na kamienicy mu zostawią. Później Brzeziński wyjechał z Lublina do majątku swego w Wielkopolsce, a następnie osiadł w Piotrkowie i rochorował się ciężko, tak że sławny lekarz Codici zwątpił już w jego życie. Do Lublina dotarła pogłoska o jego śmierci. Starsi i przełożeni gminy ariańskiej, obawiając się kłopotów z podarowaną kamienicą po śmierci Brzezińskiego, sprzedali ją Lukaszowi Sapieżemu około 1616 r. Tymczasem Brzeziński wyzdrowiał w Piotrkowie i przyjechał do Lublina, gdzie naderemnie upominał się u arian o dożywiecie w podarowanej kamienicy i o spełnienie innych obietnic, jakie sobie swego czasu zastrzegł. Nie mogąc i u Sapiehy nic uzyskać, zamieszkał w innym domu przy ulicy Mincarskiej i tutaj 19 kwietnia 1623 roku został zamordowany przez Krzysztofa Arciszewskiego. Jak z tego widać, mincarnia była pewien czas zbozem ariańskim, a ulicę Olejną zamieszkiwało wielu wy-

Po Lukaszowi Sapieżemu „mincarnię” lubelską odziedziczył Mikołaj na Kodniu Sapieha, kasztelan wileński, który w 1642 roku podarował ją Andrzejowi i Mariannie z Husiatyna Boguskim, kasztelanu sanockim. W 1708 roku „mincarnia” lubelska należała do Mikołaja Prażmowskiego, starosty Mszczonowskiego i pułkownika wojsk saskich. W tym czasie przeszła na własność braci Hermansonów Kornela, Fryderyka i Kazimierza — kupców lubelskich, a po nich odziedziczyła ją córka jednego z nich Konstancja Renata Hermansonówna i w 1740 roku przynosi ją w posagu Jakubowi Brada. W 1786 roku mincarnia jest własnością Krystyny Noakowej, której rodzina prowadziła tu handel żelazny, a w 1798 roku Stoińskich; w 1875 r. należała do Wincentego Dawida, profesora Gimnazjum Lubelskiego, a w 1901 do niejakiego Kohena. Ostatnio w 1931 roku stanowiła ona własność Szlomy Goldberga. Kamienica ta była oznaczona numerem 29, który w naszych czasach zmieniono na numer 6. Przez cały wiek XVIII dawną siedzibę mennicy królewskiej w Lublinie zwano: „Mincarnią”, podobnie jak i ulicę Olejną, przy której stała, nazywano Mincarską. Z biegiem lat wyraz ten ulegał coraz większemu przekształceniu; w 1740 roku i 1762 akta miejskie o tej kamienicy jako o Niemczarni, w 1777 nazywają ją „Męczarnią”, a ulicę zowią Męczarską, wreszcie w 1786 roku mówi się, że do Krystyny Noakowej należy dom zwany Miedziarnią. Obecnie kamienicę tę rozbiiera się i jeszcze w tym roku powstaną tu nowoczesne zabudowania Centrali Aptek Społecznych w Lublinie.

Jan Sychalski

Mówić, jak najwięcej mówić...

MIROSLAW DERECKI

Nauczycielka podnosi dłoń do góry: — „uwaga, powtarzamy jeszcze raz. Powiedźcie wyraźnie: „w-i-t-a-m-y”. Otwierając szeroko usta, odciedza głoskę po głosce... Wargi i język poruszają się powoli, uważnie formują słowo. Teraz „witamy” brzmi czysto.

Klasa wstępna. Dwanaścioro sześciolletnich dzieci. Tutaj uczą mówić. Zadane z tych dzieci nie usłyszało w życiu dźwięku. Nie słyszą własnego głosu, ani tego, co się do nich mówi. A jednak rozumieją. Ze skupieniem wpatrują się w usta mówiącego. Nie słuchają, one starają się zobaczyć słowa.

Zakład dla Dzieci Głuchych mieszczący się przy ulicy Męczenników Majdanka jest jednym z dwudziestu zakładów tego typu w Polsce. Przyjmowane są do niego dzieci od szóstego roku życia. W ciągu ośmiu lat pobytu w Zakładzie dzieci uczą się mówić i zdobywają wiadomości z zakresu szkoły podstawowej. Później mogą uczyć się w specjalnych szkołach zawodowych. Zdobывают w nich zawód krawczyka, ślusarza, stolarza albo krawca. Ostatnio powstał nawet projekt utworzenia technikum dentystycznego. Absolwenci szkół zawodowych dla głuchych pracują również w lubelskich zakładach pracy i cieszą się opinią dobrych fachowców.

Zawsze starano się nawiązać łączność z głuchoniemymi (bo konsekwencją głuchoty była często niemota) z ludźmi nieupodległymi. Powstały w 1816 roku w Warszawie przy Placu Trzech Krzyży Instytut dla Głuchoniemych i Ociemniałych posługiwał się tak, jak wszystkie tego rodzaju zakłady na świecie, metodą migową. Polega ona na przekazywaniu pewnych pojęć i stanów uczuciowych za pomocą odpowiednich gestów i mimiki. Jednak ani ta metoda, ani stosowana później metoda migowo-dźwiękowa, nie zdały egzaminu. Zaczyna się coraz częściej mówić o metodzie czysto dźwiękowej. Jej twórcy udowadniają, że człowieka tylko głuchego, ale posiadającego przy tym normalnie rozwinięte narządy głosowe, można nauczyć mówić.

Metoda ta jest z dużym powodzeniem stosowana na całym świecie.

Sto dwadzieścia czworo dzieci mieszka i uczy się w lubelskim Zakładzie dla Dzieci Głuchych. Są pod opieką jedenastu nauczycieli

równywalnym. A w sumie jest to kto wie czy nie najbardziej szekspirowska z ekranizacji Szekspira?

„MATKA JOANNA OD ANIOŁÓW”

Cóż można powiedzieć o „Matce Joannie od Aniołów” po wszystkich recenzjach, jakie się już ukazały, po sukcesach, jakie odniósł ten film na forum międzynarodowym, po dyskusjach jakże tam wzbudził? Trzeba się zgodzić, że film jest na pewno wybitny i na pewno dyskusyjny. Ale warto może zwrócić uwagę na rzecz, która jak dotychczas nie została chyba dostatecznie wydobita — stosunek filmu do jego literackiego pierwowzoru. Iwaskiewicz watek „Matki Joanny” zaczerpnął z autentycznego wydarzenia, jakie działo się we Francji XVII wieku, przeniósł je na stosunki polskie, umiejętnie wtopił w tło naszego baroku, a cały obraz nasycił konkretem. Kawalerowicz niejako przywrócił „Matkę Joannę” Francji, stawiając sprawę całkowicie poza czasem i przestrzenią, można powiedzieć, że reżyser „zrasynizował” Iwaskiewicza. Czy „Matce Joannie” wyszło to na dobre? Osobiście opowiadałem się za tekstem literackim. „Matka Joanna” u Iwaskiewicza to transpozycja spraw okupacyjnych, o których autor nie chciał czy nie mógł pisać wprost. Zło jest tu wpisane w konkretny historyczny, społeczny, geograficzny, tkwi korzeniami nie tylko w duszach winowajców, ale w pewnej określonej atmosferze, w atmosferze jednego z najbardziej intelektualnych okresów naszej historii. U Kawalerowicza zło, odarte z wszelkich kontekstów, staje się głównie sprawą psychopatologii, a sam obraz jest mniej pełny, mniej bogaty, bardziej jednoznaczny, niż to było u Iwaskiewicza. Wydaje się, że problem ten zastąpiłby na szczególną analizę, która oczywiście przekracza ramy recenzycyjnej notatki.

A. T.

poglądowych. Od klasy piątej wżwży każdy uczeń ma w ogrodzie szkolnym działkę, którą musi uprawiać. Słają na niej kwiaty i warzywa, fiancują pomidory, sadzą krzewy ozdobne. Wszystkie po to, żeby przyswoić sobie jak największą ilość pojęć. Dzieci nawet w umywalkach i łazienkach nie „mają spokoju”. I tutaj na ścianach wisi tym razem przybory toaletowe, z karteczkami objaśniającymi.

Trudno się dziwić, że przy takim stanie rzeczy sześciolletnie maluchy piszą lepiej niż dzieci z drugiej klasy w normalnej szkole. Zdarza się, że dziecko nie potrafi jeszcze odczytać dobrze jakiegokolwiek z ruchu warg nauczyciela. Przychodzi mu wtedy z pomocą znajomość palcowego alfabetu dla głuchych. Pewne ułożenie palców i dłoni jest odpowiednikiem liter alfabetu. Potrafią posługiwać się nim z niewiarygodną szybkością.

Nie widziałem w tej szkole dzieci przygnębionych i smutnych. Widziałem dzieci rozbawione, wesole, które zapomniały już prawie o swoim upośledzeniu. Oglądałem zdjęcia z przedstawień szkolnych, zabaw tanecznych(!), obozów, na które jeździ co roku tutejsza drużyna harcerska. Na przerwach jest tylko o wiele ciszej niż w „zwykłej” szkole. Ale dzwonek tak, jak i tam, ogłasza początek zajęć. Tradycja jest siłą.

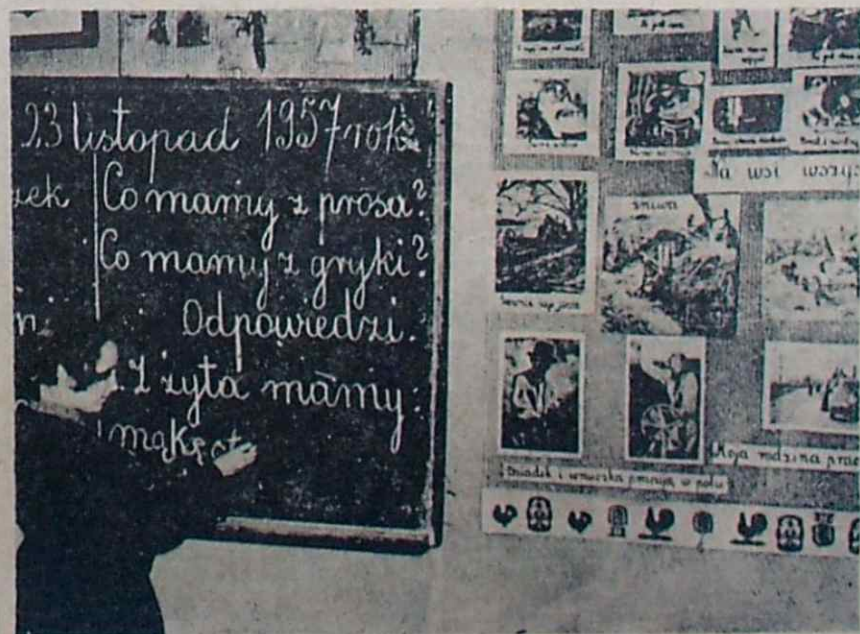
Kończą się lekcje w szkole. Dzieci z rąk nauczycieli przechodzą w ręce wychowawców. Szkoła mieści się na pierwszym, internat na drugim piętrze. Ogromny, nowoczesny budynek Zakładu, oddany do użytku półtora roku temu, ma wielką salę gimnastyczną i widowiskową, jadalnię, nowoczesną kuchnię, pralnię z parowymi suszarkami, i elektrycznym maglem, łaźnią i... szereg usterek budowlanych, które są zmorem personelu, a dla dzieci swoistą pomocą w wyrabianiu sobie pojęcia o jakości pracy.

W internacie wychowawca pomaga przy odrabianiu lekcji, pracuje z mniej zaawansowanymi, czuwa wreszcie nad potężną i rzutką organizacją, jaką jest tutaj samorząd uczniowski. Do zadań samorządu należy między innymi dbanie o czystość i porządek w sypaniach, na korytarzach, w łazienkach i ubikacjach. W tym gmachu nie ma prawie sprzętów. Wszystkie porządki, począwszy od ścielenia łóżek, a skończywszy na pastowaniu i froterowaniu podłóg, robią sami mieszkańcy. W każdej sali jest dyżurny, który podlega dyżurnym z klas najstarszych, a ci dopiero wychowawcy. Samorząd gospodaruje w zimie łyżwami i sankami, w lecie rowerami, których jest tutaj trzydzieści — od zupełnie maleńkich do całkiem „dorosłych”.

W świetlicach można wypożyczyć gry i pisma ilustrowane. Czytających książki — jeżeli to nie jest obowiązkowa lektura — spotyka się raczej rzadko. Głuchym od urodzenia nie dają one takiej przyjemności, jak na przykład ociemniałym. Wielka ilość pojęć abstrakcyjnych zawarta w książkach sprawia, że niestety z trudem mogą zrozumieć sens zdania.

O godzinie wpół do dziesiątej wieczorem, wychowawca gasi światło.

(Dokończenie na str. 12)



KALISKIE PEREGRYNACJE TEATRALNE

AL. LESZEK GZELLA

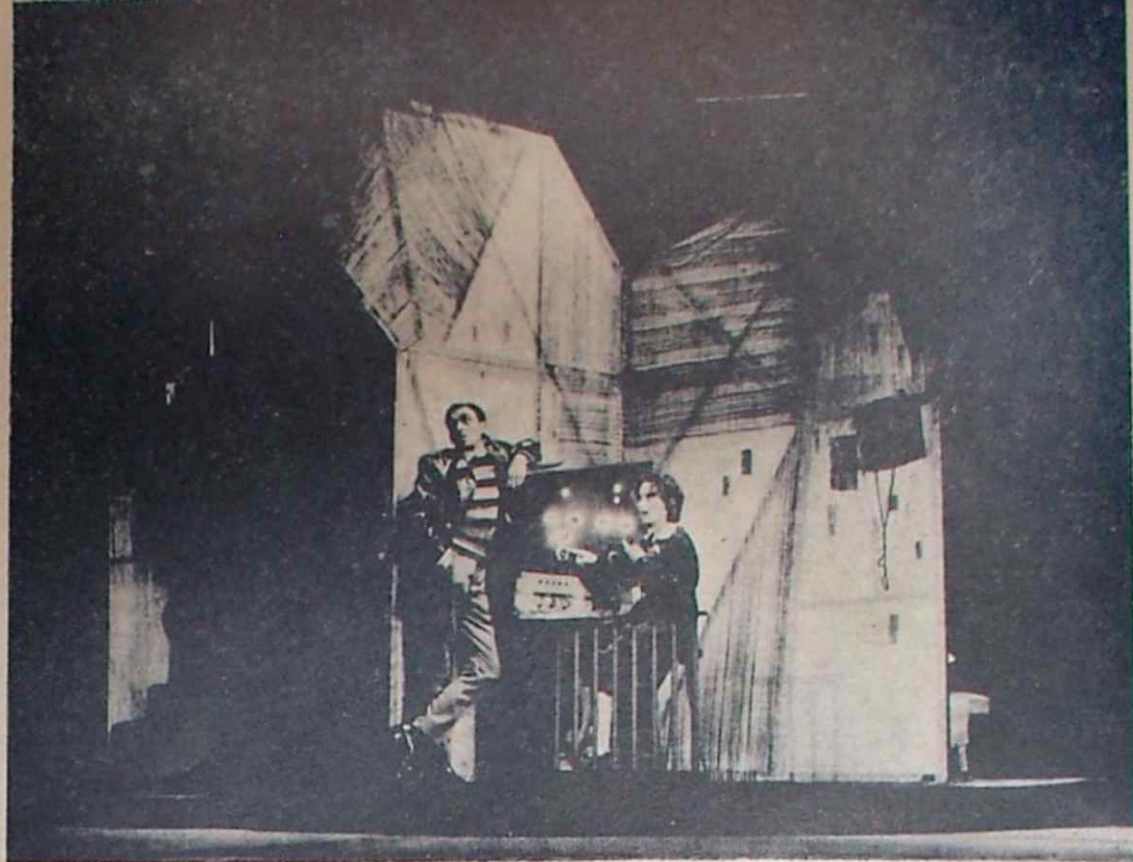
Od paru już lat w niektórych miastach wojewódzkich organizowane są festiwale teatralne. W br. w dniach od 11.VI. do 25.VI. będzie trwał III Festiwal Teatrów Polskiej Północnej w Toruniu z udziałem scen Bydgoszczy, Torunia, Grudziądza, Olsztyna, Białogostoku, Gdańska, Koszalina i Szczecina. W czasie Dni Krakowa odbędzie się drugi z kolei przegląd teatralny. Wystąpią w nim poza nowohuckim i krakowskimi teatrami z Kielca, Katowic i Rzeszowa. Również wrocławski festiwal teatralny nabiera cech trwałej imprezy. Na tegoroczny przegląd Teatrów Ziemi Polski Południowej przybyło do Wrocławia ponad 10 teatrów, a to z Opola, Katowic, Sosnowca, Zabrza, Bielska, Częstochowy i Zielonej Góry. Lubelski teatr dramatyczny został zaproszony do udziału w festiwalu teatralnym do Rzeszowa (w czerwcu). Będzie to druga impreza o charakterze ogólnopolskim, w której weźmie udział Teatr im. J. Osterwy; pierwszą były Kaliskie Spotkania Teatralne.

Kalisz od paru już lat nosi się z zamiarem zorganizowania przeglądu dorobku teatrów. Chciał nawet uświetnić tę imprezę pięknym jubileusz 1800-lecia swego istnienia. Dopiero jednak w br. ta inicjatywa kaliszana nabrała realnych kształtów. Do Kalisza zaproszono teatry, które właściwie dotychczas nie miały okazji wypróbowania swoich sił w ambitnej rywalizacji festiwalowej. Zasady tej przestrzegano dość skrupulatnie, może tylko poza jednym wyjątkiem, jaki stanowił teatr z Koszalina, Teatr Dramatyczny z Warszawy występował poza konkursem. Miał uświetnić festiwal, nie był więc brany pod uwagę przy ocenie poszczególnych spektakli.

Uczestniczące w Spotkaniach Kaliskich teatry nie reprezentowały wyrównanego poziomu. Były przedstawienia ciekawe i ambitne, ale były również zupełnie mierne.

Oto wykaz uczestników i repertuaru.

Teatry i repertuar Kaliskich Spotkań Teatralnych	
Teatr	Tytuł sztuki
1. Państwowy Teatr im. W. Bogusławskiego w Kaliszu	W. Szekspir — „Hamlet”
2. Państwowy Teatr im. J. Słowackiego w Kaliszu	W. Szekspir — „Poskromienie złoŹnicy”
3. Państwowy Teatr Dramatyczny w Warszawie	J. Potocki — „Parady” T. Rózewicz — „Kartoteka”
4. Państwowy Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie	S. Dudow, M. Tschesno — „Hell” — „Kelner Hauptmann z Kolonii”
5. Państwowy Teatr Powszechny w Łodzi	W. Hall — „Błękitny patrol” J. Anouilh — „Skowronek”
6. Państwowy Teatr im. A. Fredry w Gnieźnie	Al. Wolodin — „Pięć wieczorów” Ben Jonson — „Alchemik”
7. Teatr Satyry w Poznaniu	Plaut — „Kupiec”
8. Państwowy Teatr Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze	A. Zatrzybowna i I. Kubicka — „Ocalenie” T. Rittner — „Człowiek z budki suflera”
9. Państwowy Teatr im. J. Osterwy w Lublinie	Dario Fo — „Archaniołowie nie grają w bilard” S. Żeromski — „Sulkowski” J. Słowacki — „Kordian”
10. Państwowy Teatr Polski w Poznaniu	G. B. Shaw — „Św. Joanna”



Al. Wolodin — „Pięć wieczorów”. Szymon Pawlicki (Sławek) i Alina Horanin (Katia).

A więc w czasie 10-dniowego przeglądu pokazano bardzo rozmaite sztuki: dramaty polskie, angielskie, amerykańskie, francuskie, radzieckie, włoskie, klasykę i współczesność. Publiczność kaliska największym zainteresowaniem darzyła takie przedstawienia jak: „Poskromienie złoŹnicy”, „Sulkowski”, „Skowronek”, „Św. Joanna”, a z repertuaru współczesnego „Błękitny patrol” i „Archaniołowie nie grają w bilard”. Słabiej, a właściwie bardzo słabo, reprezentowana była na festiwalu współczesna dramaturgia polska. Za ledwie tylko jeden teatr przywiózł rzecz obrazującą problemy nam współczesne. Teatr Ziemi Lubuskiej wystawił sztukę dwu dziennikarek, A. Zatrzybowny i L. Kunickiej — „Ocalenie”, poruszającą problemy Ziemi Odzyskanych z lat 1945—50. „Ocalenie” nie należy do rzędu najlepszych utworów dramatycznych. Świadczy przede wszystkim o ambicji poszukiwania, ale więcej tu atutów reportażu, niż prawdziwego „mięsa” dramatu.

W skład jury festiwalu weszli: Wojciech Natanson jako przewodniczący, Feliks Fornalczyk (Polskie Radio, Poznań), Zygmunt Greń („Życie Literackie”), Jerzy Jasiński (Ministerstwo Kultury i Sztuki), scenograf Zenobiusz Strzelecki, Stefan Treugutt („Przełom Kulturalny”), Andrzej Wirth („Nowa Kultura”) i Jerzy Zagórski („Kurier Polski”).

Specjalną nagrodę rzeczową za inicjatywę, organizację i udział w Kaliskich Spotkaniach Teatralnych ufundował minister kultury i sztuki. Przyznał ją gospodarzowi, teatrowi kaliskiemu. Redakcja „Kuriera Polskiego” wręczyła przez siebie ufundowany puchar „za najlepsze przedstawienie” — Teatrowi Ziemi Lubuskiej z Zielonej Góry.

Jak wypadł teatr lubelski? Oba spektakle Teatru im. J. Osterwy oceniono bardzo wysoko. A więc — „Sulkowski” otrzymał jedno z dwóch wyróżnień za najlepsze przedstawienie; Jan Machulski — jedną z trzech nagród aktorskich po 5 tysięcy zł (za rolę Długiego w „Archaniołach...”), Stanisław Mikulski — jedną z sześciu nagród aktorskich po 2500 zł (za rolę tytułową w „Sulkowskim”), Zofia Bajuk otrzymała wyróżnienie aktorskie (za rolę Księżniczki w „Sulkowskim”), jedną z dwóch nagród za reżyserię po 2500 zł przyznano Jerzemu Rakowieckiemu za „Sulkowskiego”, a jedno z czterech wyróżnień za reżyserię uzyskał Jan Biczycycki za „Archaniołow...” Jedno z

dwoch wyróżnień za scenografię jury przyznało Januszowi Warpechowskiemu za „Archaniołow...” (i „Ocalenie”, wystawione przez Teatr Ziemi Lubuskiej).

Tegoroczne doświadczenia nasunęły organizatorom Kaliskich Spotkań myśl zorganizowania w roku przyszłym festiwalu, na który przyjechałyby teatry z doboru sztuk z góry ustalonym. Chodziłoby o przegląd np. polskich sztuk klasycznych czy współczesnych, albo o współczesne sztuki obce... Zresztą możliwosci w tym wypadku jest bardzo dużo. W każdym razie festiwal nie miałby charakteru przypadkowego, byłby nastawiony na pewną kierunkowość. To nadałoby mu większą wartość, a „pojedynki” poszczególnych teatrów byłyby znacznie ambitniejsze i ciekawsze.

Warto chyba podkreślić, że sukces, jaki nasz teatr zdobył w kaliskim spotkaniu teatralnym, zawdzięczać trzeba całemu zespołowi. Brano przecież pod uwagę pełne spektakle, ich całościowy obraz. Trudno byłoby zapewne samemu Machulskiemu stworzyć kreację Długiego, gdyby zabrakło właściwego akompaniamentu współgrających z nim kolegów.

Olbrymięgo dopingu zaznał nasz teatr ze strony kaliskiej publiczności, która zwłaszcza „Archaniołow...” obdarzała brawami i oklaskami, nawet przy odsłoniętej kurtynie. W ogóle widz kaliski zasługuje na specjalne wyróżnienie dzięki swojemu wyrobieniu teatralnemu. Parę gorących słów wdzięczności należy się również Zakładowi Dziełarskiemu, który sprawował pieczę nad Teatrem im. Osterwy z ramienia organizatorów festiwalu przez cały czas jego pobytu w tym uroczym mieście. Natomiast zainteresowanie władz lubelskich teatrem niekiedy jest bardzo powierzchowne. A przecież Teatr im. Osterwy jest dobrym teatrem, na pewno nie można go zaliczyć w poczet tzw. prowincjonalnych. Na pewno też może mierzyć się z zespołami o wyrobionej opinii. Świadczą o tym sukcesy innego lubelskiego zespołu, który w tym samym czasie występował gościnnie w Łodzi ze sztuką „Księżyc świeci nieszczęśliwym” i również zbierał brawa, pochwały.

Nieraz jednakże aż peregrynacje do Kalisza muszą podnosić wartość teatru dramatycznego w oczach najbliższego otoczenia.

O reformę w pełni jej treści

(Dokończenie ze str. 1)

godzin możliwie najwięcej godzin swego przedmiotu. Z tego powodu istnieje niebezpieczeństwo przeładowania programów. Trzeba pamiętać i o tym, dla kogo się to robi — o dziecku, o jego możliwościach i pojemności umysłowej. Dlatego programy powinny być układane przy udziale lekarzy-higienistów, lekarzy-psychologów i pedagogów-praktyków.

Opracowane projekty programów powinny być oddane pod ogólną dyskusję i dopiero po dyskusji ustalone ostateczne ich treści.

Pozostaje jeszcze jedna sprawa — proporcji przedmiotów ogólnokształcących i zawodowych. Chodzi o to, w jaki sposób ubierzemy szkołę 8-letnią. Dotychczasowa szkoła podstawowa ubrana była w płaszcz bez podszewki — przedmioty ogólnokształcące bez zawodowych. Czy teraz

mamy ją ubrać w dwa płaszcze, czy w jeden, ale z solidną podszewką? Dwa płaszcze na jedno ramiona nie pasują, a ubranemu jest w nich niewygodnie. Dajmy jej więc jeden płaszcz z podszewką. Musi ona w zasadzie zostać szkołą ogólnokształcącą-politechniczną (podszewką). Niech młodzież, zdobywając wiedzę ogólnokształcącą, zdobywa równocześnie poznanie podstawowych procesów produkcyjnych, obsługiwane prostych maszyn i urządzeń. Niech zdobędzie wiedzę i pozna społeczną wartość pracy produkcyjnej, niech się przygotowuje do zdobywania zawodu.

Józef Sobieraj

(Dokończenie ze str. 7)

skim nie jest zjawiskiem tak bardzo jednoznacznie prostym. Wiedzą o tym chyba najlepiej działacze chełmscy. Na zakończenie artykułu niech mi będzie wolno wyrazić jeszcze swoje obawy. Pierwsza z nich, to czy władzom powiatowym na długą metę wy-

Stawiam na powiat chełmski

starczy odpowiedniego zasobu siły (nie chodzi tu tylko o krótkotrwałe eksperymenty!), by kontynuować i rozszerzać zasięg podjętej inicjatywy. Trudno niewątpliwie wielki i długotrwały, którego w żaden sposób nie można zastąpić namiastką jedno lub dwuletniej akcji. Do realizacji takiego zadania potrzebny jest niewątpliwie coraz większy sztab prawdziwie społecznych działaczy. Zadaniem powiatu będzie ich ujawnić i dokształcić.

Zwłaszcza w dokształcaniu nie od rzeczy byłby tu udział Wojewódzkiej Poradni Pracy Kulturalno-Oświatowej w Lublinie.

Widzę jeszcze jedno poważne niebezpieczeństwo, które długotrwałe plany aktywizacji kulturalno-oświatowej powiatu może częściowo zahamować. Jest nim brak odpowiedniej ilości pieniędzy. Nie wiem, czy władze powiatowe na dłuższy okres czasu obliczyły

swoje siły i czy ze względu na napotkane trudności nie będą chciały wycofać się z połowy drogi. Uwaga, tu sygnał dla Wojewódzkiego Wydziału Kultury. (Nieczersto zdarzają się w województwie powiaty podejmujące zupełnie samorzutnie podobne inicjatywy).

Mimo wypisanych tu obaw i wątpliwości patrzę na perspektywę powiatu chełmskiego jednak optymistycznie. Zapożyczony raz proces przemian, moim zdaniem, jest już zjawiskiem nieodwracalnym. Obowiązkiem władz powiatowych jest czynnie w nim uczestniczyć. Gdyby władze powiatowe temu zadaniu nie sprostały, to i tak pozostaną w Świerżach, Stawie, Busównie, Bezku, Wierzbicy, Adolinie, czy Strupinie. Dużym nauczyciele oddani społecznej pracy kulturalno-oświatowej na wsi. W ostatecznym rachunku od nich przecież zależy najwięcej. Stawiam na tych ludzi, stawiam więc i na powiat chełmski.

Józef Zięba

LUBELSKA RADA MIEJSKA

w latach 1861 — 1863

RYSZARD BENDER

W dniu 27 lutego 1861 r. w Warszawie na Placu Zamkowym miała miejsce manifestacja patriotycznej. Chcąc zmusić do rozjęcia kilkusetosobne wojsko. Padły strzały. Pięć osób zostało zabitych.

Namiestnik carski Górczakow obawiał się następstw. Wycofał wojsko, a zapewnienie spokoju i bezpieczeństwa w mieście powierzył tzw. Delegacji Miejskiej powołanej przez wpływowych i zamożnych mieszkańców Warszawy. Za przykładem stolicy poszły inne miasta. Delegację Miejską utworzono również w Lublinie, w pierwszych dniach marca 1861 r. Po przekształceniu się 3 kwietnia w Komitet Bezpieczeństwa Publicznego, przetrwała ona dłużej niż Delegacja warszawska, bo do 15.IV.1861 r.

Zlikwidowane przez władze rządowe delegacje miały zastąpić rady miejskie. Powołane je, obok rad powiatowych, gubernialnych i Rady Stanu, ukaz carski z 26.III.1861 r. Rady miejskie przyznano w Lubelskiem najpierw Lublinowi i Krasnemustawowi, później Hrubieszowowi, a następnie Międzyrzecowi i Białej Podlaskiej. W tym ostatnim mieście nie doszło do powołania Rady Miejskiej — przeszkodził wybuch powstania.

Wybory do Rady Miejskiej w Lublinie odbyły się 3.X.1861 r. Na ogólną liczbę mieszkańców 10 054, czynne prawo wyborcze przyznano 674 osobom, bierne — 134. Liczbę wyborców i osób mających prawo kandydowania do Rady ograniczono głównie przez wysoki cenizus majątkowy. Granicą wieku, która obowiązywała przy czynnym prawie wyborczym, było 25 lat, przy biernym — 30 lat. Agitacja radykalnych grup Czerwonych przeciw wyborom nie powiodła się. Frekwencja wyborcza w Lublinie, podobnie jak w całym Królestwie, była duża. Wiele osób, przede wszystkim spośród wolnych zawodów (lekarze, adwokaci) oraz nauczyciele, zabiegało o kandydowanie do Rady Miejskiej, mimo że ordynacja wyborcza nie dawała im tego uprawnienia. Wybory w Lublinie przebiegły w spokoju. Wybrano 12 członków Rady i tyluż zastępców.

Do Rady Miejskiej dostali się przede wszystkim kupcy, zamożni rzemieślnicy oraz przedstawiciele miejscowej inteligencji. Ci ostatni weszli do niej pod pretekstem posiadania domów. W Radzie Miejskiej znaleźli się również dwaj przedstawiciele ludności żydowskiej. Dwóch Żydów wybrano również zastępcami radnych. Oto skład ówczesnej Rady Miejskiej w Lublinie:

1. Ks. prałat Kazimierz Sosnowski, lat 63
2. Teodor Kazimierski, adwokat, lat 48, właściciel domu
3. Leopold Krzyżanowski, lekarz lat 38, właściciel domu
4. Konstanty Jeziński, profesor gimnazjum, lat 39, właściciel domu
5. Symcha Lichtenfeld, lat 70, kupiec
6. Natan Miller, lat 42, właściciel domu
7. Stanisław Arct, lat 41, kupiec-księgarz
8. Antoni Hempel, lat 33, właściciel domu
9. Jan Warchocki, lat 35, właściciel domu
10. Emeryk Chrościelewski, lat 37, sędzia, właściciel domu
11. Józef Wołowski, lat 33, adwokat, właściciel domu
12. Julian Miklaszewski, lat 47, urzędnik, właściciel domu.

Rad miejskich długo nie zwoływano, mimo że w całym Królestwie wybrano je we wrześniu i październiku 1861 r. Przyczynił się do tego stan wojenny, który ogłoszono w kilka dni po zakończeniu wyborów do rad, 14.X.1861 r. Radom miejskim pozwolono zebrać się dopiero wiosną 1861 r. Pierwsze inauguracyjne posiedzenie lubelskiej Rady Miejskiej odbyło się 1 kwietnia 1862 r. Przybyli na nie wszyscy radni, z wyjątkiem chorego dra Leopolda Krzyżanowskiego. Doszło wtedy do ukonstytuowania Rady. Przewodniczącym jej z urzędu został prezydent magistratu. Rada postanowiła zbierać się regularnie raz w tygodniu. Drugie posiedzenie Rady odbyło się wyjątkowo dnia następnego, tj. 2 kwietnia. Na posiedzeniu tym powołano komisję problemową oraz postanowiono zająć się w najbliższym czasie rozpatrzeniem etatu miasta,

czyli budżetu, zbadaniem źródeł dochodów miejskich oraz kontrolą wydatków. W tym celu Rada wyłoniła ze swego grona specjalną komisję.

Jednym z podstawowych uprawnień rad miejskich było posiadanie prawa układania budżetu miasta. Magistrat Lublina, ignorując ten fakt, ułożył sam projekt budżetu na lata 1863—1865. Rada Miejska, broniąc swoich uprawnień i wykazując nieformalność postępowania magistratu również z tego względu, że według art. 21 prawa o radach miejskich, budżet należało układać tylko na jeden rok, opracowała własny projekt budżetu na r. 1863, bardziej korzystny dla miasta. Projekt budżetu opracowany przez magistrat po stronie przychodów i wydatków przewidywał sumę 34 864 ruble i 96 kopiejek. Budżet zaproponowany przez Radę Miejską po stronie dochodów zamykał się sumą niewiele wyższą — 34 913 rubli 47 kopiejek. Przewidywane natomiast wydatki wynosiły 49 653 ruble 10 kopiejek. W jaki sposób Rada Miejska zamierzała pokryć niedobór wynoszący 14 739 rubli 63 kopiejki — nie wiemy. Największą sumę — 27 000 rubli Rada przeznaczyła na tzw. wydatki nieobowiązkowe. Obejmowały one ułożenie chodników na Krakowskim Przedmieściu, zabrukowanie szeregu ulic m. in. części Krakowskiego Przedmieścia, ulicy Jezuickiej i innych, urządzenie pomp żelaznych, zbudowanie stajni dla koni miejskich itp. Ponadto przeznaczono 500 rubli na polepszenie stanu szkół elementarnych w Lublinie (zakup książek i pomocy szkolnych). Budżet zaproponowany przez Radę Miejską nie uzyskał jednak poparcia ani Rządu Gubernialnego Lubelskiego, ani władz warszawskich. Wskazuje to, że władze Królestwa, już od początku istnienia rad, ustosunkowywały się bardzo krytycznie do ich poczynań.

Rada Miejska w Lublinie przeciwstawiała się presji władz administracyjnych i dążyła do zapewnienia sobie swobody w działaniu. Dowodził tego sprawa budżetu, wskazując na to również inne przejawy jej działalności. Tak np. na jednym z pierwszych posiedzeń Rada Miejska poleciła radnemu Emerykowi Chrościelewskiemu zająć się sprawą założenia ogrodu spacerowego obok rogatek zamojskich. Radny Leopold Krzyżanowski miał zbadać sprawę założenia łaźni miejskich. Rada dyskutowała także sprawę lokalizacji dworca kolejowego w Lublinie i utworzenia Szkoły Niedzielno-Handlowej.

Lubelska Rada Miejska już 30.IV.1862 r. zajęła się sprawą mającą znaczenie bardziej ogólne i zasadnicze aniżeli dotychczasowe. Poruszyła ona mianowicie kwestię organizacji szkoły elementarnej dla Żydów. Rada wysunęła następujące żądania: 1) W szkole powinien być kwalifikowany nauczyciel języka polskiego. 2) Nauczyciel języka hebrajskiego musi zadbać, aby „...wykład języka hebrajskiego i gramatyki wykonany był z całą ścisłością, a to z powodu, że dzieci, ucząc się modlitw i pacierza w tym języku wcale ich nie rozumieją”.

Rada Miejska uchwaliła także skasowanie posady tłumacza języka rosyjskiego. Decyzję swoją motywowała tym, że stanowisko to jest niepotrzebne, ponieważ § 34 Statutu Organicznego z 1832 r. przewidywał używanie języka polskiego we wszystkich instancjach organów administracyjnych i sądowych. Rada wystąpiła także przeciwko nauce języka rosyjskiego w szkole ewangelickiej, tłumacząc, że w edukacji elementarnej język ten nie jest konieczny i nie może być wymagany. Stanowisko Rady w sprawie języka rosyjskiego spotkało się ze sprzeciwem prezydenta Lublina L. Wronckiego. Powyższe fakty świadczą o uśmiałym dążeniu Rady Miejskiej w Lublinie do utrzymania samodzielności.

Ograniczenie działalności lubelskiej Rady Miejskiej przez czynniki rządowe lokalne lubelskie i warszawskie, wywołało z czasem poczucie radnych do jej działalności. Znalazło to wyraz w absencji radnych na obradach. Począwszy od listopada 1862 r. Rada odbywała zawsze posiedzenia w niepełnym składzie. Na tę malejącą frekwencję radnych wpłynął niewątpliwie również dekret Centralnego Komitetu Narodowego z 5.X.1862 r. który żądał natchmiasowego rozwiązania rad miejskich i powiatowych. W styczniu 1863 r., z chwilą wybuchu powstania lubelska Rada Miejska w ogóle przestała się zbierać. I nie zebrała się już ani razu, mimo że prezydent Lublina przez szereg miesięcy (nawet jeszcze w kwietniu 1863 r.) wysyłał do jej członków wezwania. Nie udało się również prezydentowi uformować nowej Rady spośród dotychczasowych zastępców radnych. Przy tym stanie rzeczy zaproponował on, ażeby nie czekając na wznowienie przez Radę działalności, władze gubernialne przekazały jej uprawnienia magistratowi. Tak też się niebawem stało. Propozycja prezydenta szła bowiem po myśl władz rządowych. W czerwcu 1863 r. dotychczasowe funkcje rad miejskich przejęły magistraty. W tym czasie, a także i później, władze Królestwa nie wydały żadnego aktu prawnego, mówiącego o likwidacji rad. Zagadnienie to pokryły zupełnym milczeniem. Nowe prawo o zarządzie gubernialnym i powiatowym wydane 31.XII.1866 r. sprawę rad również całkowicie przemilczało.

Jedno z dwustu...

(Dokończenie ze str. 2)

„pod gruszą”. Dodatkowym bodźcem są niewątpliwie sprzyjające warunki po temu: rzeki, las, jeziora, no i wreszcie ludzkie połączenie komunikacyjne. Nie tak odległe to czasy, kiedy w Lublinie „zachodzono w głowę”, jak też do tego Kocka dobrać! Trzy lata temu Kock został przecięty wstęgą asfaltowej autostrady, która położyła kres tym dumaniom i wielu trudnościom. Jeżeli chodzi jeszcze o turystykę i wypoczynek w Kocku, to dla „dobrej sprawy” nie chciano ze mną więcej o tym rozmawiać.

— Warunki mamy i będziemy chcieli je wykorzystywać. Nie „przycimimy” może Firleja, ale i u nas można wypocząć dobrze”.

W sprawie warunków mieszkaniowych tego miasteczka, trzeba jednak podnieść głośnie larum. Porównania statystyczne wykazują, że ilość izb mieszkalnych z roku na rok zmniejsza się. W ciągu trzech lat ubyło ich 230, a stan istniejących nie odpowiada elementarnym wymogom higienicznym i bezpieczeństwa. Blisko 70% mieszkań wymaga kapitalnego remontu, z tego 30% nadaje się właściwie tylko do rozbiórki. Czy planowana w pięcioletniej „setka” mieszkań „deborowskich” sytuację poprawi, to niewiadomo, ale, że koniecznie należałoby ją zrealizować, to ponad wszelką wątpliwość pewne. Budownictwo indywidualne — kuleje, cegielnia miejscowa daje rocznie 150 tys. sztuk cegły, ale to kropla w morzu. Starcza na remont pieców i kominów. Obok szkoły stoją ponure mury domu nauczyciela, wzniesione głównie czynem społecznym. Jeżeli nie znajdzie się na wykończenie tego budynku jakichś dotacji, trzeba będzie go rozbiierać. Szczególnie jakoś zakończono natomiast budowę remizy strażackiej i drugiego skrzydła szkoły. Są to budowle piętrowe, koszty ich szły w setki tysięcy złotych, w których więc nie można wykończyć własnymi siłami.

Od przeszło dwu lat aktualne są ponadto jeszcze dwie budowy: domu towarowego i przetwórnicy warzywniczo-owocowej. Starym zwyczajem, projekty ugrzęzły w biurkach i teczkach ludzi uzbrojonych w pieczętę i decyzję. A do tego jeszcze kanalizacja miasta, którą chcą koniecznie przeprowadzić ojcowie, pomiary geodezyjne, aby mieć podstawę do ubiegania się o ujęcie Kocka w planach inwestycyjnych. Tyle kłopotów, tyle zmartwień!

— I cokolwiek byś zrobił, ciągle się przekonujesz, jak mało zrobiłeś i jak wiele jeszcze pozostało do zrobienia. Stwierdzenie to zawiera prawdę małomiasteczkowej rzeczywistości, pozostającej w cieniu „powiatowej metropolii”.

Do Kocka pasuje i dzisiaj określenie „ani wzrasta, ani upada”, chociaż widzi się chęć i czyni kroki, aby jednak wzrastał... Coś tu się robi i gdyby to coś mogło z czasem przyoblec konkretne kształty, złośliwe powiedzenie, że taka, czy siaka instytucja... „godna jest Psiej Wólki lub Kocka”, straciłoby na aktualności.

Piotr Goch

„O mnie i nie o mnie”

Elżbieta Rosiak

Jest rzeczą charakterystyczną, że wszelkiego rodzaju wydawnictwa o charakterze pamiętnikarskim mają na półkach księgarskich wyjątkowo krótki żywot. Np. 15.000 egzemplarzy książki A. Majewskiego pt. „Wojna, ludzie i medycyna” wykupiono w ciągu zaledwie sześciu tygodni. Nicco wcześniej i podobnie żywym zainteresowaniem spotkała się inna książka lubelska — „Dziennik z lat okupacji Zamojszczyzny” Zygmunta Kluczkowskiego, który doczekał się szybko drugiego wydania. Wydaje się, że decydującym czynnikiem jest tu bogactwo autentycznego materiału, który przynosi nam właśnie pamiętniki i wspomnienia, stanowiące kopalnię wiedzy o ludziach i ich czasach.

Mając to na uwadze, z zaciekawieniem śledzimy po nowym pamiętniku, który wyszedł spod pióra Kazimierza Bleszyńskiego pt. „O mnie i nie o mnie”. Już pierwsze strony czy nawet zdania pozwalają poznać intencje jej autora i stosunek do przedstawionych zdarzeń: „Coraz puściej, odludniej robi się koło mnie... Bo wszak — nie ubliżając moim imieniu — dla każdego z nas jest ważne przede wszystkim jego własne pokolenie, towarzysze jego młodości, a nie przeszłość. A moje pokolenie nie zniknie i nie przetrwa — dokąd? — w puście i mrok niecności, tam, gdzie i ja niebawem ocknę się albo raczej nie ocknę się, zniknę”.

(...) „Chaotyczne są bardzo te moje wspomnienia i nie mogą być inne — życie miałem ogromnie urozmaicone. Lecz stawałem w nich nie chcąc — przyrzekłem nie kłamać — piszę, jak umiem”.

Kazimierz Bleszyński ukazuje czytelnikom świat zamknięty niemal w okresie całego wieku, bo od 1863 aż do czasów współczesnych. Bardzo cenne jest m. in. to, że dzięki pamiętnikowi możemy poznać wiele wybitnych ludzi „od strony kuchni”.

Bleszyński — to stary ród szlachecki, który przeżył swój rozkwit w dawnej Rzeczypospolitej, utracił majątek wskutek narażenia się carowi i wygacił zastępy inteligencji o dość postępowym obliczu.

„Z przodków moich na ogół zadowolony nie jestem... — pisze Bleszyński — Socjalistami ani komunistami avant la lettre być nie mogli, ale na ogół bywali postępowi”.

Czytelnikowi na pewno spodoba się pewien obiektywizm pisarza w przedstawianiu krewnych, np. Józefa Sekowskiego, który odznaczał się dużymi zdolnościami, ale był człowiekiem słabego charakteru, przed którym Mickiewicz ostrzegał w pewnym liście Odyseja.

Wspomnienia Bleszyńskiego są cennym dokumentem historyka wychowania i nauczania za dawnych lat w szkole Feliksa Fabianiego, który kazał niesformnym uczniom wypisywać i uczyć się wierszyka, pamiętającego jeszcze średniowiecze: „Różdżka dziecięca Duch Święty bieć radzi”.

Ze wspomnień Bleszyńskiego historyk i literat dowie się także o atmosferze życia inteligencji w okresie międzywojennym, o pracy partyjnej autora, którego los w celi więziennej zetknął z Jurem Gorzechowskim, Ludwikiem Krzywickim i Stefanem Zeromskim. Liczne i różnorodne zajęcia autora jak: praca nauczyciela, zajmowanie się filozofią i cenzurą filmową pozwoliły Bleszyńskiemu na poznanie wielu ludzi. Wśród szerokiego kręgu znajdzie się obok ludzi wielkich także właściciel jednego ze znanych kin w Warszawie i zarazem domu publicznego, drugi — posiadacz kina (ale już mniej znanego) Cichocki, król kasarzy, o „europejskiej stawie”. Dzięki tym znajomościom autor mógł później oddać cenne usługi prof. Ułassynowi przy układaniu przez niego słownika języka żydziejskiego. Kogo ze sławnych ludzi poznajemy z relacji Bleszyńskiego? Przewijają się przed czytelnikiem szeregi twórców, których autor lubił i był z nimi w bliskich stosunkach, jak też i tych, na których wspomnienie obraża się do dziś. Spotykamy zatem Ksawerę Dunkowskiego, o którym autor przytacza wiele anegdot, Kisielewskiego, który „był śmieszny, cierpiął na manię wielkości”, ale był człowiekiem szlachetnym, Reymonta — zapalonym endeką, którego przez przekórce uświadamiał Bleszyński o Marksie i Engelse. Wśród tego grona

spotykamy się z literatem i krytykiem Antonim Sygietyńskim, który nie znosił aktorów i opowiadał, że różnił się od nich rozumem i mową.

Bleszyński z wielkim zadowoleniem i skrupulatnie notuje nazwiska tych twórców, którym w jakiś sposób pomógł wydać dzieła (m. in. Bruno Schulzowi „Cynamonowe sklepy”, Gombrowiczowi „Ferdynand” — w „Roju” i Poli Gojawiczyńskiej „Ziemie Elżbiety”).

Ci, którym bliskie są sprawy powiązań twórców z Lubelszczyzną, odnajdą m. in. wiele informacji o Andrzeju Strugu. Jego urodą zachwycał się Bleszyński, pisząc: W urodzie młodego Struga „było coś z poloneza As-dur i coś z nocturnów”.

Na Struga kończy się książka Bleszyńskiego, stanowiąca według słów autora, zaledwie cząstkę tego, co napisał. A szkoda. Jeżeli można mieć jakiś żal do Bleszyńskiego, to chyba taki, że w stosunku do wielu ludzi, z którymi go los stykał — jest ostrożny w sądach, „nawet gdy już nie żyją, bo drażliwy jest ród wieszczów.” Autor, oczywiście, miał jak największe prawo do kierowania się tą zasadą, ale największą wartość miałyby dla nas takie odważne i bezkompromisowe przedstawienie spraw, o jakie kiedyś walczył ze społeczeństwem Tadeusz Boy-Zeleński.

Na zakończenie warto jeszcze zwrócić uwagę na fakt że pamiętnik Bleszyńskiego zaopatrzonej został w bardzo skromne przypisy, natomiast zupełnie pozbawiony jest indeksu nazwisk. Nie przeszkadza to jednak uznać książkę za wartościową i godną polecenia czytelnikowi.

K. Bleszyński: „O mnie i nie o mnie”. Łódź 1961. Wydawnictwo Łódzkie, s. 259. cena 21 zł.

Motoryzują się

ZBIGNIEW BIEGAŃSKI

ZA UCIUŁANĄ przez lata gotówkę postanowiłem nabyć jakiś pojazd mechaniczny. Bolało mnie już od dawna, że wszyscy wokół mnie gwałtownie się motoryzują, tylko ja jeden pozostaję daleko w tyle, bo chodzę piechotą.

Doszedłem również do wniosku, że taki pojazd mechaniczny to kolosalna wygoda i przede wszystkim oszczędność.

Kiedy zdradziłem się przed najbliższymi przyjaciółmi z zamiarem kupna pojazdu — mieliśmy bardzo niewyraźne. Prawdę mówiąc, nikt nie mógł się po mnie spodziewać tego rodzaju decyzji. Uważano mnie dotychczas za zdeklarowanego przeciwnika motoryzacji we wszelkich jej postaciach.

Wyjawiłem przyjaciołom moje plany nie dlatego, żeby się pochwalić z posiadania pewnej okazałej ilości gotówki. Chciałem po prostu zasięgnąć ich porady odnośnie wyboru środka lokomocji, bo co tu dużo gadać: nie byłem zorientowany w tych sprawach zbyt mocno.

Mój sąsiad, młody mechanik Lucjan, namawiał mnie na motocykl. Namawiał gorąco, starał się przekonać mnie za wszelką cenę. I to właśnie wydawało mi się podejrzane. Wreszcie, jako ostatniego środka agitacji za motocyklem użył argumentu:

— A w razie czego, jak by się panu coś tam popsulo — to ja panu wszystko naprawię. Policzę niedrogo, ot tak, po znajomości. Tyle, że chciałbym pana poprosić, żeby mi się pan od czasu do czasu pozwolił przewieźć na pana motorze. Najchętniej w niedzielę, jak będzie ładna pogoda, bo ja takie wycieczki na motorze za miasto uwielbiam...

Mieć motor i być zależnym od łaski sąsiada?! Przenigdy! To już lepiej kupić sobie samochód. Tak zresztą radzi mi moja dobra znajoma, pracownica tej samej co i ja instytucji, panna Zosia. Te jej rady także budzą we mnie wątpliwości. Nigdzie w okolicy mojego domu nie ma garażu. Natomiast rodzina panny Zosi jest w posiadaniu luksusowego garażu. Ale oni mieszkają na drugim końcu miasta. A poza tym Zosia ma prawo jazdy na samochód. Lepiej być ostrożnym. Nie dość, że musiałbym stono bulić za garaż, nie miałbym żadnej kontroli nad tym, czy mój samochód nie jest pokrywom użytkowany, a poza tym musiałbym obwozić całą bardzo liczną rodzinę panny Zosi po krawcowych, Pedetach, wędliniarniach w pogoni za cieleciną na obiad, czy też po kinach i teatrach.

W końcu byłbym tak zmęczony tym trybem życia i zrezygnowany, że ożeniłbym się z panną Zosią, żeby chociaż nie płacić za garaż.

Ale bądź co bądź samochód odpowiadał mi już bardziej niż motocykl. Upewniłem mnie w tym mniemaniu mój siostrzeniec, pięcioletni Franuś, kiedy go zapytałem co woli — samochód, czy motor? Odparł bez chwili wahania: — Samochód. Bo na samochodzie jest łatwiej utrzymać równowagę niż na motorze. A poza tym samochód ma dwa światła z przodu, a motocykl tylko jedno.

Nie mogłem polegać jednak na opinii smarkacza. Następną dorosłą osobą, która udzieliła mi porad, był pan Kowalski, od trzydziestu już z górą lat zapalony rowerzysta, fanatyk dwóch kółek bez motoru.

— Motocykl to barbarzyństwo, panie kochany — tłumaczył mi — huk, brud i smród. Taka szybkość, że nic dokota siebie nie widać. Ani piękna przyrody, ani fajnych babek. Rower — co innego. Jedziesz pan w plener, podziwiasz widoki, a mięśnie nóg przy tym same się wyra-
biają.

Cóż kiedy pan Kowalski też mnie nie przekonał. Mam awersję do fanatyków. Poza tym rower przy dzisiejszym stanie techniki wydał mi się anachronizmem.

Inny mój znajomy, emerytowany wysoki oficer lotnictwa, usiłował mnie nakłonić na kupno samolotu, ale z tych samych antyfanatycznych względów odrzuciłem tę myśl.

W końcu, po wyczerpaniu już wszelkich możliwości w dziedzinie poradnictwa motoryzacyjnego, postanowiłem działać na własną rękę. Według własnego gustu i uznania, bez oglądania się na nikogo, bez pseudo-żylicznych, a w gruncie rzeczy stronicznych rad pseudo-przyjaciół. Stać mnie przecież na własną, oryginalną myśl.

Złożyłem w „Motozbycie” zapotrzebowanie na raketę kosmiczną. I teraz czekam na przydział.



Dzieci rysują (z wystaw Lubelskiego Domu Kultury)

Studenci o językoznawstwie

W ośrodku poznańskiego Uniwersytetu Adama Mickiewicza, odbyło się w kwietniu międzyuczelniane Seminarium Językoznawcze Studentów Kół Polonistycznych.

Uczestniczący w nim delegaci z ośrodków językoznawczych całej Polski wysłuchali 11 referatów, skupiających się wokół trzech zasadniczych kwestii: stylistyki, dialektologii i onomastyki. Lublin reprezentowały 4 referaty, dwa z UMCS: kol. M. Buczyńskiego „Nazwy dzielnic i przedmieść Lublina” i kol. J. Bartmińskiego „Ewolucja metody użytkowania gwary w utworach A. Dąbrowskiego” oraz dwa referaty z KUL: kol. Z. Klimajówny „Kilka uwag o składni gwary wsi Laskówka Delasowska pow. Dąbrowa Tarnowska” i kol. J. Kani „Kilka uwag o szyku przydawki w wielkopolskich rotach sądowych XIV—XV wieku”.

Jakkolwiek poziom wszystkich prac przedstawionych na zjeździe był wyrównany, największym powodzeniem cieszyły się referaty dotyczące stylistyki. Ze szczególnie dużym zainteresowaniem przyjęto próbę wprowadzenia analiz leksykometrycznych do badań stylistycznych. Ważną innowacją w stosunku do

dotychczasowych sposobów ujmowania materiału, innowacją leżącą w duchu nowoczesnych metod badawczych, był fakt, iż niemal wszyscy referenci w swych pracach posługiwali się metodami statystycznymi.

Zakończenie obrad przyniosło sukces lubelskim polonistom. Z sześciu nagród przyznanych w ogóle kol. J. Bartmiński (UMCS) otrzymał drugą nagrodę, a kol. Z. Klimajówna trzecią. Przedstawiciel ośrodka lubelskiego wyróżniono także za aktywny udział w dyskusji.

To, że ta pierwsza próba zorganizowania studenckiego zjazdu językoznawczego wypadła pomyślnie, świadczy o dużej prężności organizacyjnej i naukowej kół polonistycznych i jest też dużą zasługą organizatorów imprezy — studentów poznańskich. Podjęta uchwała o zorganizowaniu co dwa lata zjazdów poświęconych tematyce językoznawczej jest jak najbardziej słuszną, gdyż kwietniowe seminarium, wbrew powszechnemu mniemaniu, wykazało, że sprawy językoznawstwa mogą budzić duże zainteresowanie.

Irena Niewęgłowska

Mówić jak najwięcej...

(Dokończenie ze str. 9)

Interesująca jest historia samego Zakładu. Przed wojną i po okupacji istniały dwie klasy dla dzieci opóźnionych w rozwoju. Klasy nie liczyły więcej jak po 6-7 uczniów; cały personel nauczycielski sprowadzał się do dwóch osób. W 1952 roku powstał Zakład dla Dzieci Głuchych. Jego dyrektorem została Maria Chrzastkowska, zajmująca to stanowisko do chwili obecnej.

Początki były bardzo trudne. Zakład otrzymał na internat budynek przy ulicy Dymitrowa, w którym dawniej mieściło się schronisko dla nieletnich przestępców. Problem budynku szkol-

nego był na razie nierozwiązany. Nagle zwolnił się budynek szkolny przy ulicy Mariana Buczka 21. Pomimo, że stropy były podparte stemplami, postanowili zająć go... i czekać, co z tego wyniknie.

Z ulicy Dymitrowa na Buczka dzieci chodzą przez siedem lat. Wreszcie w roku szkolnym 1960-1961, w kronice Zakładu znalazła się taka notatka: „Eżegz rok szkolny rozpoczęliśmy w bardzo dobrych warunkach. Nasz nowy zakład jest duży, jasny, pełen słońca i powietrza, odpowiada wymogom szkoły i internatu. Mieści się z miastem w dzielnicy — Majdanek przy ulicy Droga Męczenników Majdanka”.

Mirosław Derecki

NOTY

NR 20 „POLITYKI” jest naprawdę interesującą, bo zawiera nie tylko dokończenie pierwszej części wspomnień Erenburga, dalszy ciąg zawsze interesujących reportaży Kapuścińskiego z Kongo, ale clou wszystkich — sensacyjne „Wyznanie mordercy Adolfa Eichmanna” z maszynopisu odtworzonego na magnetofonie rozmów zbrodniarza z Austriakiem dr Langerem, b. pracownikiem niemieckiego wywiadu, i Holendrem W. Sassenem, ochotnikiem SS i dziennikarzem (ambo meliores!). Przytoczymy tu jedną charakterystyczną wypowiedź Eichmanna (bo ten nr „Polityki” powinien nabyć każdy kto interesuje się ponurymi czasami wojny i okupacji): „Muszę zupełnie uczciwie powiedzieć, że gdybyśmy z tych 10,3 miliona Żydów wymordowali 10,3 miliona, to byłbym szczęśliwy i wówczas mógłbym powiedzieć — dobrze, że zniszczyliśmy wroga. Ale los chciał, że większa część tych Żydów została przy życiu”. Skoro już mowa o Eichmannie zwracam uwagę na bardzo tożsamy artykuł L. Kraskuskiego „Ostatnie litery alfabetu” w nr 21 „Nowej Kultury”.

DLACZEGO TO p. Barbara Michałowska („Polityka” nr 20) omawiając „Pojednanie” A. Bonarskiego pisze nazwisko prof. Szafera po niemiecku przez s ch? Miejmy nadzieję, że zastawiony botanik nie dowie się o tej przykryj gaffie.

I RÓŻEWICZ w swym pięknym, ale nieco rozgadany poemacie „Et in Arcadię”

(„Nowa Kultura” nr 21) ulega złudzeniu, że „Vedi Napoli poi mori” to znaczy, jak cytuje, „zobaczyć Neapol i umrzeć”. Nie, przeciwnie — żyć! Zobacz Neapol, a potem może jeszcze piękniejsze od niego Mori. NA PRÓŻNO szukamy w „Przeglądzie Kulturalnym” dalszego ciągu kubańskich reportaży Brezy, zwłaszcza o nieudanej inwazji kontrrewolucjonistów. Zamiast tego mniej atrakcyjny Laos Zukrowskiego.

NAUKA JEZYKÓW OBCYCH. Słusznie porusza tę sprawę Osmańczyk w nr 29 „Przeglądu Kulturalnego”, proponując utworzenie przy pomocy państwa przy Klubach Międzynarodowej Prasy i Książki — klubów uczących się języków obcych. Ale niestety w zakończeniu przytoczenia się do „zwolenników martwego języka esperanto”, nazywając ten wprawdzie sztuczny, ale najłatwiejszy i najliczniejszy ze wszystkich języków „cudacznym”. Przecież obok angielskiego, francuskiego i włoskiego goźna się uczyć i tego niemłego Osmańczykowi, ale pożytecznego „cudactwa”. Jedno drugiemu nie przeszkadza.

POD ADRESEM „DOKOŁA ŚWIATA”. Na str. 16 nr 21 Ilona zarówno w rozmowie z instruktorem modelarstwa lotniczego w Pałacu Młodzieży Waldemarem Salachem, jak i w tytule swego wywiadu, pisze nie po polsku: „Nie konik, a pegaz”. Trzeba ale, ale, pani Ilono!

ALÉ I POETA? Ten sam błąd językowy u Józefa Ratajczaka w wierszu „Potrzeba słuchu” („Współczesność” nr 10): „rozszadzają nie słowa a bzykanie trzmiela”.

-kaj-

ALFABET PÁLCOWY GŁYCHONIEMYCH



Odpowiedzi Redakcji

P. P.

Jan P. w Zamościu. Niestety, „Demony” i in. to dopiero wprawki. Sam Pan zresztą pisze: „Ostatnio zaczynam próbować pisać wiersze”. Zaczyna Pan próbować i tak od razu do druku?

Autorowi „Mariwe natury” w Lublinie. Zatrzymujemy. Ustawiamy „w kolejce”.

Rysz. K. w Lublinie. Eksperymentowanie. Może zamieścimy „Sed non satiat”. Ale z treści wiersza wynika, że tytuł powinien brzmieć w rodzaju męskim: „Sed non satiat”.

G. K. w Białej Podlaskiej. Przydałby się większy wybór wierszy. Na razie trudno nam powiedzieć, czy nasza redakcja będzie, jak Pan pisze, „instytucją adekwatną, aby ocenić twórczość (Pana) w ogóle”.

Ed. P. w Toruniu. Wiersze nie nadają się do profilu naszego pisma.

K. E. S. w Chełmie. Zatrzymujemy „Inwalidę” do przyszłej kolumny poezji chełmskiej.